



Grey Scale #13

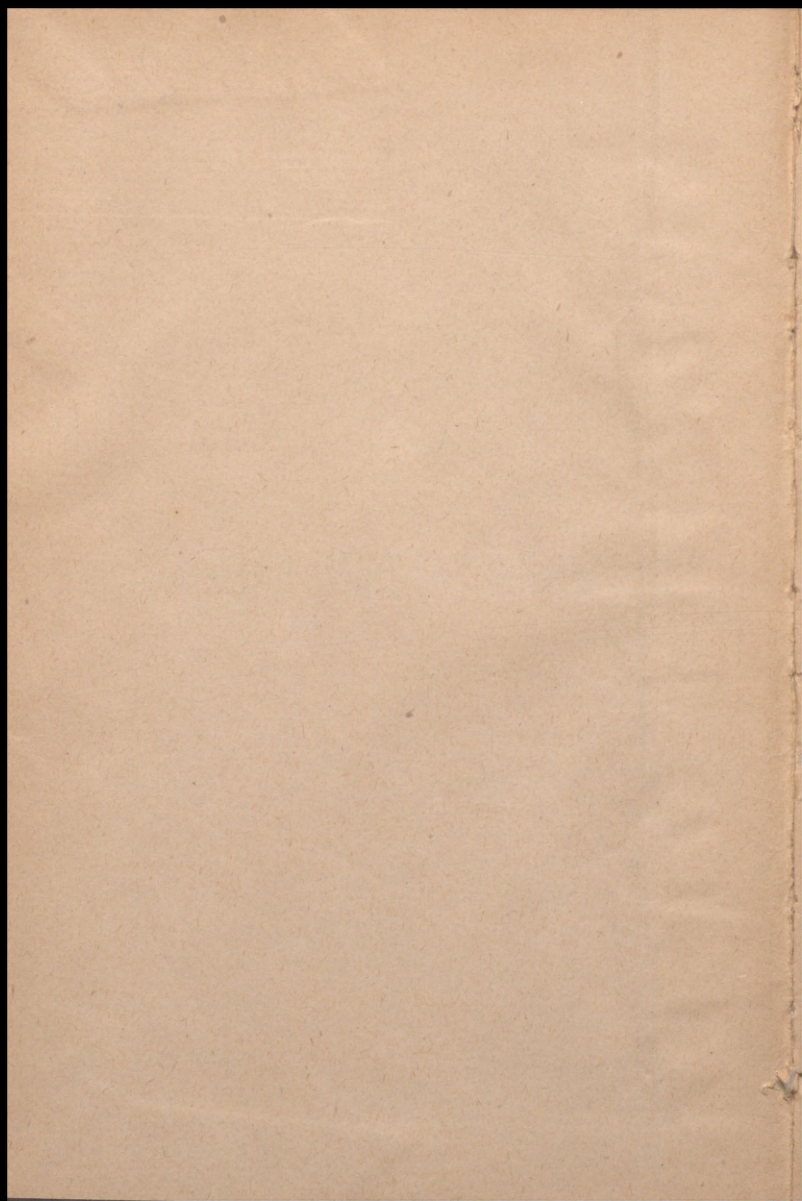


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA.



b 216

PAMIĘTNIKI

KAJETANA KOŹMIANA

OBEJMUJĄCE

wspomnienia od roku 1780 do roku 1815.

CZEŚĆ VI.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.

EMIL BRATRO

KSIEGOZBIOR

No 25 ZN. M

92. 93(438)8: 93(438)9



10072/1

Dalszy ciąg Rady stanu.

Aleksander Linowski.

Aleksander Linowski był bez wątpienia jednym z najznakomitszych radców stanu, równie z rozumu, talentów, wymowy, jak patryotyzmu. Jeżeli był niższym w nieprzygotowanej wymowie od Stanisława Potockiego, a szczególnie od Tadeusza Matusewicza, za to był od obydwóch wyższym, treściwszym, jędrniejszym w przygotowanej lub pisanej. Patryotyzm jego był czysty i niepodejrzany, lecz w posługach publicznych umiał sobie wybierać stopnie dogodnie jego osobistym interesom, nie dla korzyści, uwłaczających szlachetności jego charakteru, lecz przez pewien rodzaj próżności i zbyt może o sobie wygórowanego zarozumienia. Głosząc zawsze prawidła cnoty, ofiar i poświęcenia, nie zawsze poświęcał swoje widoki osobiste w sposób, jakiego od innych wymagał. Zawsze sądził się upokorzonym, gdy kogo bądź z osób blizkich siebie wiekiem, choć

zasłużeńszych widział przed sobą, ledwie sędziwym starcom wyższe stopnie na urzędach przebaczał. Badeni, który go znał dobrze jako Krakowianina, mawiał o nim: „Linowski ma dla innych prawidła, dla siebie „excepcye”.

W młodości swojej wyszedłszy ze szkół i odziedziczywszy po ojcu majątek, zaraz z jednowioskowego majątku został posłem na sławny sejm konstytucyjny 1788, połączył się z prawymi i gorliwymi patriotami i odznaczył się wymową. Przybliżył się do dworu, gdy ten po zawarciu aliansu z Prusami, zdawał się szczerze łączyć z narodem, wpływał do tajemnych narad nad ułożeniem konstytucyi 3 maja. Zawarł wtenczas znajomość z Trembeckim, który trzymał berło rymopistwa polskiego, przyniósł mu początkowe próby swoje w poezyi i zyskał od niego zachęcenie w wierszu, który z chlubą w późniejszym wieku powtarzał:

Niechaj postrach i trwoga w młodych mężach rośnie
 Trzymających w zamknięciu swe żonki zazdrośnie,
 Jeśli z daru z Lampsaku Boga jak z Minerwy,
 Tak silne wzięłeś ciała jak umysłu nerwy.

Po upadku konstytucyi 3 maja i zajęciu kraju przez wojska rosyjskie, wrócił do swego gniazda w Krakowskie, i w Krakowie zamieszkał utrzymywał tam ducha narodowego i przygotowywał ziomków do powstania. On był jednym z tych, którzy wiedzieli, utrzymywali sekret i przysposobili generałowi Kościuszce naczelnictwo siły zbrojnej i niespodziane przybycie do Krakowa ułatwili. Jego pióra jest akt powstania, manifest do obcych dwo-

rów i pierwsze proklamacye do narodu. W nich nie oszczędzał zanadto uszczypliwych i niepolitycznych przeciw dzielącym Polskę monarchom wyrazów, ale w rewolucyi i po tak okropnych ranach, trudno było wymagać umiarkowania, gdzie wszystko od zapału zależy. W bitwie raclawickiej i szczekocińskiej był w sztabie naczelnika, w randze rotmistrza kawaleryi. Pierwszy raz go ujrzałem w cofaniu się od Szczekocin pod Kozłowiec, gdzie wyprawiony byłem przez komisję lubelską, po przegranej bitwie przez generała Zajączka pod Chełmem. Oddałem Kościuszcze ekspedycyą na drodze, jechał przy szeregach na małym koniku w sukmance krakowskiej, otoczony generałem Fiszerem, Józefem Dembowskiem i Linowskim. W Kozłowcu w małym domku ekonoma, Kościuszko oddał ekspedycyą generałowi Fiszer, który mi czekać na odpis rozkazał. Uważałem wielką poufałość między Kościuszką a Linowskim. Pierwszy w mojej przytomności rzekł do drugiego: „Musiało się coś między nimi stać nadzwyczajnego, kiedy za nami nie postępują”. Kościuszko potem rzekł do mnie: „Jeżeli Austriacy nie cofną się z kraju, niech się komisya uda do Zamościa, a wkrótce wróci na swoje miejsce”. Linowski zapytał mnie o bitwę pod Chełmem i o generała Zajączka i Wedelfolda. Odpowiedziałem jak generał Zajączek traktował komisyą, odrzekł: „On wszędzie przesadzi, ale nie czas teraz skargami i komerażami bawić się, trzeba ducha utrzymywać i bić się”. Po zbliżeniu się Kościuszki pod Warszawę, Linowski wszedł do Rady najwyższej i jak wyznaczony komisarz zasiadł pod prezydencyą generała Zajączka w sądzie,

który miał wyrokować o biskupie lubelskim Skarszewskim podkanclerzym, tam skłócił się żywo z tym generałem, który ze zbyt surowem zdaniem wystąpił. Zajączek, nienawidzący dworu, posądził go o wpływ na niego króla i wyłączył go z grona sędziów. Linowski ustąpił, lecz wkrótce po upadku rewolucyi Kościuszki, zemścił się dotkliwie na nim i na Kołłątaju, napisał albowiem i wydrukował małe pisemko, lecz ostre i zjadliwe, zarzucające tak Kołłątajowi jak Zajączkowi, demagogiczne i krwawe zamiary i jak niebezpiecznych jakubinów, którzy zatruli czystość Kościuszkowskiego powstania, przed narodem wystawił. Mniej godna zapewne zemsta chociażby się na prawdzie opierała, a którą jedynie drażliwości charakteru Linowskiego przypisać należy.

W Krakowie pod rządem austriackim, pędził życie spokojnie. Gospodarstwo wiejskie zdał na braci, sam się oddawał towarzystwu ludzi uczonych. Żył zawsze w najznakomitszem społeczeństwie, nie zapominając jednak o dobrym zarządzie fortuny. Uczęszczał do Sieniawy do księstwa generalstwa Czartoryskich, gdzie stale oddychano patriotyzmem i gdzie się zwykło było zgromadzać najświetniejsze i z wychowania i z ojczystych uczuciów obojej płci towarzystwo. Księżna Maria Wirtemberska jeszcze młoda, piękna, będąca podówczas w rozwodzie z mężem, lubiąca się podobać, jak to sama wyznawała, a nade wszystko ofiara swojego przywiązania do kraju, jak była ozdobą tego świetnego towarzystwa, tak była przedmiotem czci powszechnej i westchnień nadaremnych nie jednego z młodych rodaków, Li-

nowski był w ich liczbie, wzdychał i wiersze o niej i do niej pisał. Znam jeden pod tytułem *Herbata z winem*, które zaprawił delikatną skargą na obojętność księżny. Nie wiem czyli jeszcze podczas sejmu konstytucyjnego, lub. czy w tych czasach bywając w Warszawie, zapoznał się z profesorem Łęskim i w młodej urodziwej żonie jego zakochawszy się, rozwiódł ją, co było łatwo pod rządem pruskim, ożenił się i już ciągle w Warszawie zamieszkał, prowadząc domowe, skromne i prawie patryarchalne życie. Mało gdzie bywał prócz pod Blachą u księcia Józefa, któremu podobać się, a panią Vauban ująć sobie umiał. Żony w świat wyższy nie wprowadził, ona też acz przyzwoite wychowanie odebrała, nie miała żądy pokazywania się wśród wrzawy stołecznego towarzystwa, ograniczyła się domowem życiem, była dobrą żoną i matką. Mąż ją cenił i stale był do niej przywiązany, nietylko był dobrym mężem i ojcem, lecz nad pasierbem opiekę ojcowską rozciągnął, wychował z własnymi dziećmi starannie, przyzwoite utrzymanie zapewnił i zawód zdolnościom otworzył. Dziwić się potrzeba, że człowiek tak znakomitych talentów i już nabytego znaczenia, po wejściu Napoleona, żadnego a przynajmniej głośnego nie miał w czasie wejścia wojsk francuskich udziału w sprawach publicznych; nie wiem nawet czyli Napoleonowi był przedstawiony. Bądź będąc obywatelem galicyjskim i mając własność w Krakowskim nie chciał się narażać, bądź chciał być szukanym i nie szukał, bądź dla szorstkości swojej w obejściu się z wyższymi doznał od nich przeszkody; sądzić o tem nie będę, lecz to

mnie zastanawia, że przy organizowaniu Księstwa Warszawskiego, został wybrany razem ze Staszicem na referendarza Rady stanu i przyjął koleżeństwo z młodymi bez znaczenia w kraju będącymi uczniami szkoły pruskiej. Wnosić bym mógł, że znana mi jego wyniosłość dotkliwie na tem cierpiała, gdybym razem nie znał jego czystej miłości kraju. Za pierwszą bytnością króla saskiego w Warszawie w r. 1807 przed sejmem wyniesiony został wspólnie ze Staszicem na stopień radcy stanu i jako mąż znany z wymowy przeznaczony został do obrony przed sejmem projektów rządowych wprzódki dyskutowanych w Radzie stanu. Na pierwszym wstępie odpowiadając na krytykę tych projektów i popularne zarzuty, przez młodego posła Godlewskiego wniesione, zapalił się oburzeniem, że młody poseł śmie mu stawiać czoło: „niech wie”, rzekł głośno: „poseł mariampolski, że te projekta są pisane przez ludzi, co już w kraju znakomite zasługi z cnoty, patryotyzmu i rozumu położyli, kiedy on jeszcze jak uczeń szkoły przebywał”. Na te słowa cała izba po większej części z gorącej i drażliwej młodzieży złożona, zawrzała i obruszyła się; zaczęto wołać „pod sąd, pod sąd za obrazę izby, niech wyjdzie pan Linowski, precz z Linowskim”. „Linowski, założywszy ręce stał i rzekł: „izbie nie myślałem ubliżyć i nie ubliżyłem, do prześlągania się nie zniżę, zabijcie mnie, rozsiekajcie z miejsca się nie ruszę”. Próżno mówili i wymawiali go Stanisław Potocki i Woroniecz, sejm nie chciał przystąpić do żadnych narad póki Linowski nie wyjdzie; król uwiadomiouy o burzy, przysłał ministra, sekretarza Brezę i wezwał

do siebie Linowskiego, posłuszny królowi, udał się do niego i więcej nie wrócił, to ułagodziło umysły.

Z sejmku tego wyniknęła sprawa Dominika Kuczyńskiego z Łubieńskim ministrem, którą niżej opiszę. Linowski był z pierwszych, który wziął obronę prześladowanego obywatela, swego podobno szkolnego kolegi i przyjaciela. Nienawidził on przytem dwóch znakomitych w Radzie stanu członków: Stanisława Potockiego i Łubieńskiego, pierwszego może przez niejaką zazdrość jego talentów i znaczenia, drugiego dla widocznej łaski królewskiej, którą sobie jednać umiał. Obydwom zawsze się sprzeciwiał w Radzie stanu, i obydwóch językiem surowym, a często uszczypliwym prześladował. Zarzucał on p. Stanisławowi próżność i lekkość, a pan Stanisław dawał mu wzajemnie uczuć zarożumiałość i pychę; ta między nimi nieprzyjaźń trwała aż do śmierci. W początkach Królestwa Polskiego p. Stanisław obrażony obmowami jego, nadto dając się powodować urazie, dał do jednego z dzienników obraz *pana Dumnoptaskiego*, w który rysy charakteru Linowskiego podług swego zdania osądzonego starał się zebrać, tak, że publiczność poznała i oryginał i chęć piszącego. Linowski nie miał także przyjaciela w Niemcewiczu; bo obaj ubiegali się o popularność, ale każdy innemi drogami. Linowski zwykł był stawać w opozycyi każdej władzy i każdej znamienitości. Niemcewicz miał swoje nawyknięcia, swoje wybrane przedmioty czci lub nienawiści; nie przebaczał on wad nawet przyjaciołom, znał je, szczypał *sub ignoto*, lecz zazdrości ani do możniejszych, ani do więcej utalentowanych

nie miał, a że był stałym przyjacielem pana Stanisława Potockiego, dość było powodu do nieprzyjania Linowskiemu. Obadwaj prawi ludzie, dobrzy patryoci, liberalni. Linowski w wyborze przyjaciół był trudny, rzadziej przyciągał, niż obrażał, i dlatego nie wielu miał przychylnych. Niemcewicz posiadał powszechną miłość i przyjaźń w płci obojej, nawet ci, których zdarzyło mu się dla niepowściągniętego w wesołości języka obrazić, nie mogli się od związków z nim oderwać i chętnie mu wybryki jego dowcipu przebaczali. Wiedzano, że to pochodziło z nałogu, nie z serca. Przytem dla swoich cierpień za kraj, dla swojej niepodejrzanej miłości ojezyny i dla swoich pism literackich, w których zawsze przebijała się miłość kraju swego, obyczajów, języka, a nieuleczona nienawiść do nieprzyjaciół Polski, i wszystkiego, co było nienarodowem i cudzoziemskim, był tą potęgą, wyobrażającą całą siłę opinii narodowej. Mieć go przeciw sobie było jedno, co zostać zgubionym w opinii powszechnej.

Po przyłączeniu Galicyi zachodniej do Księstwa Warszawskiego i powiększeniu jego składu przez członków rządu centralnego, znaczenie i talenta Tadeusza Matusiewicza przeważyły w kraju znaczenie Linowskiego. Z Matusiewiczem i z Stanisławem Potockim zjednoczyli się wszyscy znakomitsi radcy. Linowski został tylko przy ministrze Węgleńskim, na którego miejsce wkrótce Matusiewicz nastąpił. Wygnany przez Węgleńskiego dla złodziejstwa Okołów, i mimo swych starań i zabiegów podłości odepchnięty od Matusiewicza, przeniósł swoją

złościwość i plotki do Linowskiego, a pochlebstwem i obmowami kołysał w nim obrażoną miłość własną, i może zazdrość obudzoną przez wziętość i uwielbienie, które sobie Matusiewicz u Serry, ministra francuskiego zjednał, a przez niego oczy Napoleona i króla saskiego na siebie zwrócił. Jakoż wkrótce Matusiewicz do Paryża wezwanym został, tam Napoleonowi śmiało i wymownie wystawił stan kraju. Napoleon polecił mu podać ten obraz na piśmie, a król saski w tym celu wyznaczył deputacyę z Rady stanu. Matusiewicz podjął się redakcyi takowego przedstawienia i wygotował obszerny do Napoleona raport, w którym, przechodząc przez wszystkie gałęzie rządu, okazał nietylko potrzebę oszczędności w wydatkach, lecz wsparcia kraju pożyczką ze strony cesarza, jeżeli chce ten kraj pomocnym sobie i użytecznym uczynić. Linowski nie użyty do tej deputacyi, skrytą urazę do Matusiewicza powziął. To przełożenie Matusiewicza dało początek do negocyacyi o pożyczkę 10 milionów franków u bankiera Lafitte, która wkrótce do skutku przysła. Niedługo potem ksiązę Józef Poniatowski wysłany został do Paryża do króla dla powinszowania urodzin króla rzymskiego. Po jego powrocie głuche wieści zaczęły się rozchodzić o nieporozumieniu między cesarzem Aleksandrem a Napoleonem. Wojska francuskie walczyły w Hiszpanii; w Francyi żaden ruch wojsk dozierać się nie dał, gdy wiadomości, z Litwy i Wołynia przycho-dzące, ostrzegały o przybliżaniu się wojsk rosyjskich na całej granicy Księstwa. Nie wiem, czy z rozkazu cesarza, czy też z własnego popędu ostro-

żności raz już rząd przedsięwziął wszystkie składki, amunicyę, broń i t. d. wywieźć do Modlina, lecz ten przestrach okazał się próżnym i zaniechano dalszych przygotowań. Tymczasem minęła zima, a na wiosnę cesarz Aleksander przybył do Wilna, wojska jego w większej sile zgromadzać się zaczęły. Negocyatorowie przewijali się między Paryżem a Wilnem. Generał francuski Marchand ukazał się w Warszawie, wszystko zapowiadało ważne wypadki; wojska polskie organizowały się i ćwiczyły. Generał Kniaziewicz, który od czasów rozwiązania legionów, wprzód mieszkał i ożenił się na Wołyniu a od 1809 roku osiadł w Warszawie, wezwany został i przyjął komendę jednej dywizyi wojska, nakoniec sam Napoleon się ruszył i stanął w Poznaniu, wzięwszy do swego pojazdu Wybickiego, znanego mu z pierwszej w Polsce wojny, a następnie wezwawszy do siebie ministra Matuszewicza dla objawienia mu swoich względem Polski zamiarów. Przypuścił go więc do stołu swego i naradzał się z nim, w jakim sposobie ma naród polski objawić swoje do niego próśby o przyjęcie go pod swoją opiekę i wskrzeszenie rozdartej jego ojczyzny. Gdy mu Matuszewicz przekładał, że cały naród gotów jest wziąć się do broni dla wspierania jego zamysłów i że powstanie skonfederowane w jedno ciało zwyczajem w Polsce używanym i skutecznym, on o rzeczach polskich jedynie z Rhuliera uprzedzony, że konfederacye w Polsce były powszechnie buntem szlachty lub wojska przeciw władzy królów, rzekł do niego: *Je ne veux pas de votre Pospolite*. Po wytłómaczeniu przez Matuszewicza, że konfederacye zba-

wienne bywały przy królach, i że królowie bądź je zawiązywali w wielkich zdarzeniach, bądź do nich przystępowali, zgodził się Napoleon i stanęło, że się sejm pod konfederacją zawiąże, król do niej przystąpi, wyznaczy Radę konfederacyi i na nią swą władzę przeleje. Ta Rada poda prośbę do Napoleona o wskrzeszenie Królestwa Polskiego, wezwie wszystkie prowincye do powstania i przystąpienia do konfederacyi, ducha utrzymywać będzie, nie się nie mieszając w administracyę kraju, która przez króla saskiego na Radę ministrów przelaną została. Dla spełnienia tego układu powrócił Matuszewicz do Warszawy z zaleconem sobie zwołaniem sejmu, lecz razem z nakazem nie wyjawienia w jakim celu. Ja byłem jednym z pierwszych, którym wyjawiał tajemnicę, gdyż mnie przeznaczał na sekretarza Rady generalnej i z swego wyboru i z życzenia przysłego marszałka sejmu księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podoskich. Zapytany przez Linowskiego, coby przywiózł, nie wiem dlaczego nie powierzył mu tajemnicy, która wkrótce przebijać się zaczęła. Linowski zbyty od niego ogólnikami, rzekł z humorem: „Dlaczego się ukrywasz przedemną, wiedziałem, że chcesz zawsze być pierwszym, nie wiedziałem, że pragniesz być jedynym”.

Tu powiem to, o czem należało mi wspomnieć pod Badenim. Gdy się rzeczy wyjawily i wybierano członków z sejmu, z senatu, z Rady stanu do Rady konfederacyi generalnej, najzacniejsi ludzie wejść sobie do niej życzyli. Wszystkich umieścić było niepodobna. Mieszkanie Matuszewicza obłożo-

ne było przez współubiegających się pretendentów, każdy radby był należeć, przyłożyć się do powstania Polski, a z każdego ciała politycznego skład Rady konfederackiej miał mieścić w sobie członków, to jest z senatu 2, z Izby polskiej 6, z Rady stanu 2 i jednego referendarza. Linowski oczywiście pominionym być nie mógł, lecz wybór 2 radców włożył się między nim, Kochanowskim, Staszicem i innymi. Brat mój, podówczas deputowany na sejm, rozmawiając z Badenim spostrzegł po nim jakieś zasmucenie i niespokojność i powierzył mi, że Badeniego dręczy niepewność, czy będzie wybranym na członka Rady konfederackiej, czego sobie niezmiernie życzy. „Czemu nie uda się do Matusewicza?—odrzekłem.—„Nie chce mieć postaci solicytanta”—brat mój odpowiedział. Zdarzyło mi się tego dnia być u ministra Matusewicza, który, jako przyszłemu sekretarzowi Rady, zwierzył się z kłopotu w wyborze osób; gdy przechodził listę członków Rady stanu, rzekł: „Linowskiego i Kochanowskiego minąć nie można, jako najstarszych radców”. Odezwałem się na to: „Mamy stwarzać dawną Polskę, czyli nikogo nie będzie w Radzie konfederacyi w polskim ubiorze i z dawnej Polski”. „A, dziękuję ci—odrzekł:—żeś mi przypomniał Badeniego, jego minąć nie można, i dla jego osoby, i dla jego związków i reputacyi w Litwie, a nawet w całej Polsce. Ale cóż zrobić z Kochanowskim”? Pozwoliłem sobie uwagi, że Kochanowski w tej chwili zastępca słabego ministra spraw wewnętrznych Łuszczewskiego, który dogorywa, nie byłby w stanie dwom magistraturom wystarczyć. Wziął więc mini-

ster skarbu pióro i wpisał między kandydatów Badeniego. Będąc zaraz tego wieczora u Badeniego: „Cóżście tam ułożyli z Matusiewiczem o przyszłej konfederacyi,—zapytał mnie—chowacie sekret, więc mi nie powiesz.“ „Owszem jako członkowi przyszłej Rady konfederackiej mogę wszystko wyjawić—odrzekłem. Zerwał się z kanapy, i z największą czułością uścisknąwszy mnie zawołał:—komuż to winienem, bo Matusiewicz może o mnie nie pamiętać.—Owszem niemógł cię pominąć i nie pominął, winienś to panie radzco sobie.—On odrzekł:—Ja należenie do tej sprawy czynne poczytuję za najwyższy zaszczyt, byłbym się sądził upośledzonym, gdyby mnie był minął, biorę go za świadectwo mego przywiązania do kraju, za nagrodę moich zasług odiomków, droższą nad wszystkie dostojęstwa i ordery. Bądźcie pewni mojej wdzięczności.” Nigdy nie widziałem weselszego i szczęśliwszego Badeniego, ak w tej chwili.

Gdy po zalimitowaniu sejmu, konfederacya rozpoczęła swe posiedzenia przez proklamacyę do narodu, akcesa do niej ze wszystkich stron Polski szybko i licznie przychodziły. Pierwszym jej było czynem wysłanie dwóch deputacyi; jednej do Napoleona do Wilna z prośbą o wsparcie jej zamiarów, drugiej do króla saskiego o potwierdzenie konfederacyi i przystąpienia do niej. Pierwszej przewodniczył Józef Wybicki wojewoda, drugiej książę Jabłonowski kasztelan. Między posłami dodanymi Wybickiemu młody Aleksandrowicz przebrał się na tę delegacyę po polsku. Mylnie napisał książdz Pradt ambasador francuski, że adres do Napoleona,

przez Matuszewicza napisany, był długi i ckliwy, i że on go poprawiał. Byłem przytomny na tem posiedzeniu, na którem redakcyja jego rozbieraną była, w obecności ambasadora francuskiego; znalazł on ją odpowiadającą swojemu celowi, dodał tylko, iż życzyłby, aby silniej było demonstrowane, że istnienie Polski równie jest koniecznem dla Francyi, jak dla równowagi europejskiej. Na te uwagi Matuszewicz prosił go, ażeby co sądzi potrzebnem i zgodnem z życzeniem cesarza, raczył dodać; wziął więc do siebie i dodał kilka frazesów, które właśnie przeciwny skutek sprawiły, jakiego się ambasador spodziewał. Wybicki skoro ten adres narodowemi kolorami i pieczęcią opatrzony w ozdobnej puszcze zamknięty okazał Maretowi, a ten zapewne przeczytał go prywatnie cesarzowi, cesarz znalazł go nie po swojej myśli ułożonym, przywołał Wybickiego i rzekł mu:—Adres ten nie jest zgodny z mojami stosunkami politycznymi,—i zaraz sam podyktował Wybickiemu taki, jaki był umieszczony w dzienniku konfederackim, i taki sobie publicznie oddać rozkazał. Adres zaś oryginalny z podpisem marszałka i członków Rady, pozostał w kancelaryi cesarskiej. Gdy więc Wybicki na posłuchaniu publicznem przeczytał prośbę Rady konfederackiej, dał na nią Napoleon tę sławną odpowiedź okraszoną słowami przychylności dla Polaków, przyrzekającą wsparcie z dodatkiem *jeżeli, jeżeli, jeżeli*. Takie postępowanie cesarza zasmuciło delegatów, lecz Maret przychylny Polakom umiał to politycznie wytłumaczyć, zapewniając, iż wszystko zależy od powodzenia oręża i ducha prowincyi polskich, pod

berlem cesarza Aleksandra będących, który mu się niepewnym zdawał.

W Radzie konfederacyi generalnej duch pawał najlepszy, z tą tylko różnicą, że, zacząwszy od sędziwego starca, księcia Adama Czartoryskiego, członkowie senatu, radzcy stanu i dwaj posłowie Łubieński i Skórzewski pragnęli się ściśle trzymać aktu konfederacyi, i do rządu wcale się nie mięszać, trzech zaś posłów Antoni Ostrowski, Franciszek Wężyk i ksiądz Skórkowski, wymagało od rządu, aby konfederacyą jako najwyższą narodową władzę zawiadamiał ciągle o swych czynnościach. Z tymi członkami łączył się często Linowski, a nawet był ich naczelnikiem i pod tym względem często stawał w opozycyi większości; żądza bowiem popularyzowania się, a razem przewodzenia była jego słabością. Wkrótce zawiązany w Litwie rząd tymczasowy przysłał przez delegatów swoich akces do konfederacyi. Na czele tej deputacyi był Jelski sędziwy, w stroju polskim i znamienity obywatel. Na publicznym z tego powodu obchodzie w kościele św. Jana po mowie księcia marszałka, zabrał głos Aleksander Linowski przygotowany, wymowny, w którym śmiało utyskując na nowe i nienarodowe formy, uciskające Polskę wyraził życzenie i nadzieję konfederacyi w mądrości cesarza, że powstającej Polsce dozwoli wrócić do właściwych sobie i narodowych instytucyi. Było to powiedzianem dla Litwinów, nawykłych do polskich praw pod rządem cesarza Aleksandra i lękających się kodeksu francuskiego. Znaleziono ją pod pewnym względem niepolityczną i mogącą niepodobać się cesarzowi.

Ambasador francuski zażądał jej i kazał ją sobie wytłumaczyć. Pan Broglie za rządu parlamentarnego par Francyi, i za Ludwika Filipa minister spraw zagranicznych przez krótki czas bawienia w Warszawie tyle się nauczył języka polskiego, że był w stanie to tłumaczenie pod okiem Linowskiego, dobrze posiadającego język francuski, przedsięwziąć, i przenieść w nie całą świetność wymowy oryginału. Linowski wydziwić się nie mógł bystrości pojęcia młodego audytora, który już wtedy przynosił wróżby znakomitego pisarza i męża stanu.

Gdy wkrótce ze zmianą pomyślności oręża, rząd i Rada konfederacyi przeniosła się do Krakowa, Linowski nie wiedział, że przed tym wyjazdem zrobione zostały propozycye i oświadczenia cesarza Aleksandra stworzenia Polski. Ja wiedziałem, gdyż mi minister Matusiewicz te obietnice i odezwę cesarza rosyjskiego pod sekretem powierzył, lecz w Krakowie już one przestały być tajemnicą, i Linowski zwątpił, aby Napoleon mógł, a nawet żeby chciał szczerze utworzyć Polskę, odstąpił więc młodych kolegów jeszcze ludzonych przez ministrami francuskiego Bignona, jak to wyraziłem pod księciem Józefa Poniatowskim i pod Badenim. Gdy księżę Józef wyszedł z wojskiem do Czech, konfederacya, zalimitowawszy swoje posiedzenie, rozjechała się. Linowski udał się do Warszawy i przez związki swoje z księciem Adamem Czartoryskim do znaczenia w nowym porządku rzeczy torował sobie drogę, zbliżył się więc do członków rządu tymczasowego, a szczególnie do Nowosilcowa, którego do-

bremu dla Polski usposobieniu wszyscy wtenczas wierzyli, i zaczął wpływać radami na przyszłe urządzenie Królestwa Polskiego. Gdy cesarz Aleksander wyjeżdżał na kongres do Wiednia, bawił parę dni w Puławach, Linowski był mu przedstawiony przez księcia. Widząc się ze mną w Warszawie, mówił do mnie z wielką ufnością i pochwałami Nowosilcowa, uważał go za najprzychylniejszego z Rosyan sprawie polskiej i żałował, że go cesarz Aleksander nie wziął z sobą na kongres, rzekł:—Czego książę Adam nie będzie śmiał zrobić, Nowosilcow gotów jest przedsięwziąć. Onby raczej wykroił wojnę Rosyi z nieprzyjaciołmi Polski, niżby zezwolił, żeby najmniejszą część oderwali od niej, i Polska całaby powstała pod berłem władzy Rosyi.— W przerwie między traktatem wiedeńskim a ogłoszeniem konstytucyi, należał do wszystkich deputacyi przygotowujących projekta do urządzenia Królestwa według zasad przyszłej konstytucyi. Powołany do Puław, gdzie cesarz Aleksander był zjechał, należał wraz z księciem Adamem Czartoryskim, Nowosilcowem i Ludwikiem Platerem do narad nad przyszłą konstytucyą według zasad już wprzód położonych; kiedy potem w jej wykonaniu znalazły się niejasności lub wątpliwości liczne, jakby jakie furtki dla władzy, ja mu mówiłem „wszakże należałeś do jej ułożenia.” Lecz on składał winę na redakcyę Platera. Nie wiem czyli Plater układał tekst francuski, lecz wiem, że na polski ją tłumażył. Mnie się zdaje, że do redakcyi oryginału najczynniej wpływał Nowosilcow. Przy mianowaniu osób na urzędy, władze królestwa polskiego skła-

dające, Linowski został mianowany w komisji spraw wewnętrznych dyrektorem generalnym policji z dodaniem dyrekcji poczt po śmierci Sartoriusza, urząd korzystny i znaczący, lecz nie mógł się on zgodzić z ministrem spraw wewnętrznych Mostowskim. Mostowski czuł się na swoim miejscu i przez podwładnych w niczem krępowanym być nie lubił; Linowski zaś najmniej był stworzonym do uległości, i nie mógł nigdy zapomnieć, że w dawnej Polsce na jednej linii mieścił się z Mostowskim. Był więc raczej natrętnym doradcą a często jawnym krytykiem, niż podwładnym. Ztąd Mostowski prze-myślał jakby go z tego miejsca usunąć, okoliczności posłużyły mu do tego. Powiedziałem wyżej jak Linowski swoją uporczywą nieuległością naraził księcia Adama W. księciu Konstantemu, i może przyłożył się mimowolnie do powodów, które usunęły księcia Czartoryskiego od namiestnikostwa. Sam też ściągnął na siebie osobiście nieukontentowanie W. księcia. W. książę jednemu z przejeżdżających książąt krwi przeznaczył mieszkanie w apartamentach na poczcie, które Linowski zajmował, może przez jakąś niechęć do Linowskiego, wyniesionego przez księcia Czartoryskiego. Linowski biorąc za wymówkę, że nie może rugować z mieszkania oficyalistów pocztowych, kas i archiwów, i usuwając się od odpowiedzialności za szkody i zatrzymanie służby pocztowej, stropił W. księcia z jego żądania, lecz gniewu i urazy nie uniknął.

Linowski w czasie swego urzędowania powiedział dwie mowy, odznaczające się silnem jego słowem, jędrnem jak wyżej powiedziałem. Pierwszą na

publicznym obchodzie po księciu Józefie Poniatowskim, drugą na pogrzebie Tomasza Ostrowskiego, prezesa senatu, którego dom upodobał sobie, i gdzie dla swego rozumu był lubiony od całej rodziny. Napisał on i wiersze do imperatorowej, matki uwielbiające tę, która dała pokojodawcę Europie, a które ona z uprzejmością przyjęła.

W trudnem się on znalazł położeniu po nominowaniu generała Zajączka namiestnikiem, raz jako protegowany przez księcia Adama, którego równie jak wszystkich Czartoryskich nienawidził Zajączek, powtórę dla owej księżeczki, przepelnionej zółcią, napisanej po rewolucyi Kościuszki przeciw Zajączkowi i Kollatajowi. Znalazł on jednak sposób zbliżenia się do namiestnika, to przez Węgleńskiego Jana ministra za księstwa warszawskiego, to przez Okołowa, protegowanego przez siebie, którego płaśkie bufonady bawiły namiestnika, a który za rekomendacją Nowosilcowa, któremu znaczną sumę pożyczył, znalazł wstęp do domu Zajączka, i na niejaki czas umysł starca opanował, znalazł, mówię, sposób przejednania sobie namiestnika do tego stopnia, iż jego przysługi przyjmował, a w towarzystwie znajdował upodobanie. Często on żartów dozwalał sobie z Okołowa, które starego kolegę bawiły, te przecież żarty niespodzianie i niewinnie pozbawiły go urzędu i wygodnego miejsca, a to z następującego wydarzenia: Razu jednego w obecności Węgleńskiego i Linowskiego wszedł Okołów do namiestnika. A że zaraz skoro się ukazał zaczynały się bufonady lub plotki, które ta brukowa trąba roznosiła, namiestnik zapytał go: „Cóż mi przyno-

sisz Kalwinie?” (tak on zawsze zwykł był nazywać swego domowego bufona). „Oto moi księżę, idę z parady wojskowej. Co to za nierozwaga w naszych Polaczkach, cesarz był na paradzie. Cóż księżę powiesz na to, wszyscyśmy stali z odkrytymi głowami, gdy spojrzę koło siebie, a tu jakiś szubrawiec czy szlacheciura wąsaty z nakrytą głową ani myśli zdjąć czapki; mówię:—widzisz, że cesarz przechodzi, odkryj głowę.—On spojrzął na mnie, jakby się chciał klócić, nie wiele myśląc podniosłem laskę, i zrzuciłem mu czapkę z głowy.—Cóż ci na to powiedział—zapytał namiestnik? „Cóż miał powiedzieć, podniósł czapkę z ziemi i odszedł.” „Nie rób tego drugi raz, boby mógł cię skrzywdzić, lub wyzwać i wyprawilbyś scenę w obecności cesarza, za którąbyś pewnie z rozkazu W. Księcia w kozie siedział.” Zamilkł i zmięszał się Okołów. Spostrzegłszy jego pomięszanie Węgłęński i Linowski drażnili go żartami, bawił się nimi namiestnik. „Uważałeś księżę jak pomięszany wyszedł kalwin, albo się chwali i kłamie, albo też żałuje tego, co zrobił i boi się; trzeba mu wypłatać sztukę, żeby na jaw wyszło, albo kłamstwo albo tchórzostwo. Ja pod zmyślonem nazwiskiem wyzwę go na pojedynek, a ujrzy księżę, że albo tu przyłeci zasapany po protekcyą księcia, lub się będzie musiał zawstydić kłamstwa.” „Zróbcie to—odpowiedział namiestnik,—a zabawiemy się z kalwina, bo bezczelnie dozwała sobie durzyć wszystkich.” Jakoż Linowski kazał nieznaną ręką napisać list do Okołowa w słowach: „Mości panie Okołów, miałeś zuchwalstwo zrzucić mi czapkę z głowy na pu-

blicznej paradzie, dodałeś do niej beczelność i przechwalałeś się nią po domach. Spodziewam się, że znajdziesz odwagę dać mi tłumaczenie w sposobie przez ludzi honoru używanym. Czekam więc W Pana za rogatkami Jerozolimskimi, gdzie o godzinie czwartej rano udaję się z przyjaciółmi mymi; wybór broni W Panu zostawię, palną i ostrą przywiozę z sobą. N. N. szlachcie i obywatel mazowiecki." List ten posłany gdy rąk Okołowa doszedł tak go przestraszył, że jak sam potem opowiadał ledwie apopleksyi nie dostał; lecz tchórzostwo inną zupełnie drogę do ratunku wybrało, jakiej się nie spodziewali autorowie żartu. Okołów zamiast udać się do namiestnika, pobiegł ze skargą do Nowosileowa, ten z raportem pośpieszył do W. księcia, który go zaniósł do cesarza, i w mgnieniu oka cała policya rosyjska i Roźnieckiego w ruch wprowadzona w celu odkrycia wyzywającego. Żandarmerya obsadziła wszystkie ulice, dotykające do rógatek Jerozolimskich. Namiestnik nieuwiadomiony o tem policyjnym poruszeniu, wezwany do cesarza, zagadniony został czy wie o pojedynku, i czy policya przedsięwzięła środki przeszkadzające? Namiestnikowi żart, którego dozwolił, wyszedł z pamięci, dopiero go sobie przypomniał, gdy cesarz wymienił Okołowa, przyznał się więc do mistyfikacyi, i podając w śmieszność Okołowa przez niezręczność czyli zapomnienie wymienił Linowskiego. Cesarz na to odpowiedział:—Żart wprowadzie niewinny, lecz ze strony dyrektora policyi w każdej chwili, a tem więcej w mojej przytomności naganny, nie chcę na czele policyi krajowej urzędnika, który sobie takiej pło-

chości dozwala.—Jakoż rozkazał ministrowi sekretarzowi stanu Sobolewskiemu wygotować dymisję, podpisał ją, i ta z wielkiem zadziwieniem wszystkich, z tryumfem dla Okołowa, po odjeździe cesarza Linowskiemu wraz z nominacją na kasztelana do senatu dla nieokazania zupełnej niełaski wręczoną została. Mostowski jeden był kontent, że tym sposobem pozbył się go z grona radców i zasiadających w komisji spraw wewnętrznych. Nie można jednak mniemać aby sam powód powyższy sprowadził dymisję; Linowski, jak wyżej rzekłem już razy kilka ściągnął na siebie urazę W. księcia, dodawszy do tego nieukontentowanie Mostowskiego z swoich dwóch radców często mu opornych, Linowskiego i Gliszczyńskiego, wnosić należy, że szukano tylko pozoru jakiego do oddalenia obydwóch, i chwycono się pierwszego wydarzenia. Jakoż W. książę już miał w myśli nadać miejsce Linowskiego po swojej chęci Sumińskiemu radcy prefektu płockiej, synowi wojewody dawnego partyzanta dworu rosyjskiego i matki intrygantki zalotnej za Stanisława Augusta, który to Sumiński podczas odwiedzin W. księcia u garnizonu płockiego, podobać mu się umiał, i uległości woli jego dawał rękojmią. Po usunięciu Linowskiego wkrótce los podobny spotkał Gliszczyńskiego, następnie Kochanowskiego radcę stanu, gdy ten przez skrewnienie swoje przez żonę z namiestnikiem, przez dawną poufalskość i przyjaźń jako z Zajączkiem, stał mu się natrętnym w radach, i często opornym w zgromadzeniu Rady stanu. Następnie i Matusiewicz minister skarbu wyszedł z rządu. Zrażony ciąglem sprzeciwianiem się przez na-

miestnika projektem, wnoszonym przez niego, a szczególnie mianowaniem Okołowa do komisji skarbu na radcę stanu dyrektora generalnego dóbr i lasów rządowych, owego pogardzonego od wszystkich, na publicznej kradzieży schwytanego i oddalonego ze służby złodzieja, podziękował za urząd, i tylko kasztelanem dla upokorzenia go mianowany został, tak że potem w przysłowie się obróciło to powiedzenie gdy który z radców stanu, bądź w komisji, bądź w Radzie stanu stawał śmiało przy konstytucji: „Pójdiesz w kasztelany.” Dodać tu muszę, że kiedy tak znakomitemu ze wszech względów mężowi wyrzucaliśmy drażliwość, jaką okazał, odstępując rzeczy publicznej w tak ważnym przedmiocie, jakim jest skarb, rzekł do nas: „Wiecie, że jak zawsze tak i w tym porządku rzeczy chciałem się poświęcić na usługi kraju, pozostać na tem miejscu miałbym nawet osobiste powody, los mego syna, którego oddałem do gabinetu pana Capodistrias, zawisł od łaski cesarza. Znosiłem więc z cierpliwością wszystkie upośledzenia, upokorzenia, a nawet prześladowania jako pokutę za moje przeszłe znaczenie. Nie wolno mi nawet było nic dobrego dla kraju przedsięwziąć, zaraz zawiść, zazdrość, nienawiść stawały mi na drodze, i najzbawieńszymi moim chęciom potwarzą osoby mojej przeszłości stawały. Wniosłem projekt systematu kredytowego, spotwarzono mnie, że dla dogodzenia interesom Czarторыskich i własnemu kraj listami zastawnemi zarażam, spadł przez nienawiść namiestnika do Czarторыskich i do mnie, spadł przez obmowy i rozdmuchanie podejrzania przez Okołowa, którego

z domu Radziwiłłów wypędziłem. Przecież, cierpiąc, zostałem na miejscu. Lecz kiedy teraz sadzają obok mnie jako kontrolera moich czynności, tego złodzieja Okołowa, przekonywam się widocznie, że mnie chcą się pozbyć. Okołów to jest smród, koło tego gnoju siedzieć byłoby ostatnią podłością.

Ci dwaj znakomici talentami ludzie, Matusiewicz i Linowski, różną drogą szli w życiu publicznym; zawsze atoli prostą i szlachetną, różną gdy obrani z czynnego znaczenia weszli do senatu. Matusiewicz zawsze umiarkowany, skromny, nieobrażający nikogo swoją wyższością, umiejący wybierać przyjaciół i uprzejmością jednający sobie powszechne poważanie i wziętość, nie zstąpił z tego toru w postępowaniu z rządem, który mu się tak źle odplacił. Linowski z żywą urazą wszedł zaraz do opozycji, i w senacie i na sejmach stanął wbrew projektom rządowym i przewodniczył tak w tym politycznym ciele, jak w prywatnych towarzystwach surowej krytyce wszystkich czynności rządu. Oto jest tego dowód. Matusiewicz wkrótce po otrzymanej dimisji na pierwszym sejmie wybrany na czele deputacyi do przedstawienia cesarzowi przyjętego przez senat projektu, rzekł w mowie swojej: „Najjaśniejszy panie! szczęśliwi jesteśmy waszą cesarską mością królem naszym, szczęśliwi z instytucyi wspaniałością duszy waszej cesarsko królewskiej mości narodowi naszemu nadanych, przynosimy przed tron twój wraz z jej owocem uczucia nieśmiertelnej wdzięczności. Królu nasz! podbiłeś serca nasze wspaniałą dobroczynnością, wdzięczność naszą i uwiel-

bienie najdalszym pokoleniom przekażemy". Linowski zaś przeciwnie na następnym sejmie podburzywszy senat do odrzucenia projektu najzbawienniejszego organizacyi sądu sejmowego, i wymową swoją przez dwie sesye spierając się z członkami Rady broniącymi projektu, to jest z Platerem i ze mną, w zapale wymowy, rzekł w obecności całej publiczności, wyrzucając rządowi ubliżenia konstytucyi:

"Gdyby mi wolno było z niepodległym głosem przybliżyć się do tronu cesarza, rzekłbym! Panie, odbierz konstytucyę, lub ją każ ściśle zachowywać". Projekt dlatego utrzymanym w senacie został, lecz spadł w izbie poselskiej. Tak nierównie znosili swoje upokorzenie, lecz obydwóch zdrowie jednocześnie chwiać się zaczęło. Matuszewicza ze słabości nóg i piersi, której zaród na najwyższym stopniu znaczenia jego pod Napoleonem już się objawił. Cierpienie moralne, boleść ranionej duszy przyczyniły się do nadwerężenia zdrowia Linowskiego. Pierwszy rzucił się na łono religii, chwile swobodnego próżnowania dzielił między literaturę, którą lubił, wieś, którą ogrodem i pomnikiem poświęconym żonie swojej, Przebendowskiej z domu, ozdobił, zajął się szczególniej tłumaczeniom dzieła Tomasza à Kempis „O naśladowaniu Chrystusa", które wybornym stylem na język polski przelał, i wyjechawszy do wód dla poratowania zdrowia, w Bolonii życie na ręku przyjaciela swego księcia Adama Czartoryskiego zakończył. Linowski nie tał się z pewnym rodzajem nieukontentowania, mało gdzie bywając, ograniczył się domowem życiem. Oddał się wychowaniu dzieci, które kochał, nie zaniedby-

wał literatury, której był miłośnikiem, pisał i poufałym przyjaciółom swoje utwory czytywał, narzekał na czasy i ludzi, na niesprawiedliwość, sobie wyrządzoną, nie oszczędzał w uszczypliwych ucin-kach swoich przyjaciół i nieprzyjaciół. Czasem zapraszał na wieczory familijne, które dla swojej młodzieży dawał i tak czas dzieląc, którego już sprawy urzędowania nie zapełniały, zapadłszy na lekką słabość, nagle i niespodziewanie życie zakończył. Pierwszy był powszechnie żałowany, drugi od swojej rodziny nader słusznie, i od kilku wiernych mu przyjaciół, w których byłem liczbie. Dla mnie albowiem był ze szczególnemi względami, i ja ceniłem całą jego wartość, nie zrażając się tem, co może innych miłość własną raziło. Mówiono bowiem o nim, że to jest jeź, którego skoro się nie głaszcze zaraz kolce nadstawia. Rzecz szczególna, że protegowany przez niego Okołów, który mu całe życie pochlebiał, po śmierci pierwszy go z dumy i miłości własnej obgadywał, ale on tak i z namiestnikiem postąpił. Dodać jeszcze winienem, iż Aleksander Linowski otrzymał zaszczytny dowód ufności księcia Józefa Poniatowskiego, gdy na egzekutora testamentu jego, przez niego wybrany został.

Co do referendarzów stanu, tych zastałem wszystkich zdolnych i gorliwych, jako to: Karola Wojdę, Onufrego Wyczechowskiego, Józefa Morawskiego, Stawiskiego. Maksymilian Lewicki, sekretarz rządu centralnego wraz ze mną powiększył ich grono. Wojda pierwszy z porządku referendarz był człowiekiem uczonym, w administracyi pruskiej i francuskiej biegłym, francuskim, a szczególnie niemiec-

kim językiem łatwiej władający, aniżeli polskim, gdyż przez długie bawienie za granicą odwykł był od niego, zostając w sztabie generała Moreau; tłumaczył się jednak po polsku usty i piórem i jasno i zwięźle. Onufry Wyczechowski szkół pruskich wychowaniec zdatny, lecz obyczajom, instytucyom a szczególnie wyobrażeniom umysłów polskich obcy, nie przypadłał do smaku członkom Rady stanu, Łubieńskiemu ministrowi tylko był dogodnym. Ztąd jego przedstawienia, jako pruskim duchem teńące, zawsze podzierano, a że będąc młodym, zwykł się był spierać z starszymi, nie lubiono go. Jakoż wkrótce minister Łubieński wyniósł go na prezesa sądu, a na jego miejsce wyjednał nominację dla brata jego młodszego, bardzo zdatnego pod względem prawnictwa, i mającego niepospolity talent tłumaczenia się. Józef Morawski znakomitym umysłem obdarzony, zacny, najlepszy Polak, mimo wielkich zdolności, że był zięciem ministra sprawiedliwości, już nie obudzał takiej ufności na jaką zasługiwał. Uprzedzenia przeciw teściowi jego powzięte rozciągały umysły może i do niego, tem więcej, że wówczas okazywał się gorliwym uczniem filozofii Kanta i często swoje przedstawienia myślami i stylem, teńącym szkołą niemiecką, zaprawiał. Stawiski przez czas urzędowania swego mało dał dowodów zdolności, gdyż pracy unikał. Lewicki Maksymilian, znany i dobry austriacki prawnik, a w wyobrażeniach swoich więcej niemiecki, jak polski urzędnik, chociaż w duszy i sercu najlepszy Polak, jasno widział, jasno pisał, lecz przez wygórowaną staranność dokładności tak długo i rozwlekł, że ta nie-

zręczna dokładność, mordując⁵ uwagę słuchających, nudotą sama siebie truła; dodajmy do tego, że w czytaniu ton miał tak jednostajny, tak przewlekający, iż samego Staszica tak zawsze bystro słuchającego przedstawień nieraz uspiła, z kąd często komiczna wynikała scena, dla niepowtarzania której Staszic albo stojący słuchał, albo unikał siadać przy tym Morfeuszu. Razu jednego Staszic, słuchając zbyt długiego referatu, zaczął drzemać i wszedł w walkę z przemagającym snem, wstawał, marszczył brwi, zażywał tabakę, lecz sen go zwalczył, gdy się skończyło czytanie, po sesyi rzekł do członków:

„Nie będę siadał przy tym monotonicznym czytelniku, lub proszę, aby kto inny jego pisma czytał! bo ja tonu jego głosu znieść nie mogę”.

Stanisław Grabowski był sekretarzem Rady stanu, uczony, pełen wiadomości, nadzwyczajną pamięcią celujący, ciągle roztargniony naukami i polityką, która była jego namiętnością, najmniej zdalny był do urzędu, który wymagał ciągłej uwagi, rozsądku i trafności w redakcyi spraw toczących się. Szczerowski, sekretarz protokulista nie uczony, lecz nietyle roztargniony, miał rzadki talent nagradzać to, czego Grabowskiemu brakowało, w jasnym i treściwym wyrażeniu zdań szczególnych członków przy dyskusjach. Oddać atoli muszę sprawiedliwość Stanisławowi Grabowskiemu, iż czując swoją pod tym względem nieudolność ważniejszych decyzji, redakcyą zwykł był pokazywać referendarzom i ich rady i poprawki chętnie przyjmował.

Najpierwszy, jak pomnę, padł na mnie referat w interesie Stanisława Grabowskiego, sekretarza Ra-

dy stanu ze skarbem tego księstwa, do którego rozpoznania już zastałem wyznaczoną deputacyę z radców stanu: Woronicza, Grabowskiego, Rządzkowskiego; do tej więc deputacyi dodany byłem, i ta powierzyła mi wygotowanie referatu. Interes przez ministra skarbu Węglińskiego wniesiony był następujący.

Król Stanisław August, lubo zrzekł się rozdawnictwa starostw na sejmie, za co darem dostał dziedzictwem na Ukrainie cztery największe starostwa białocerkiewskie, chmielnickie, bogusławskie i kaniowskie. Po abdykacyi korony wydał z pewnych obowiązujących go względów, Stanisławowi Grabowskiemu, antydatowany przywilej na starostwo nad Bugiem położone, zwane Krzywowierzba, do 40,000 złotych dochodu przynoszące. Gdy po objęciu Galicyi przez rząd austryacki, Stanisław Grabowski, przez noty podawane do tego rządu, zabierał się do objęcia w posesyę tych dóbr, rząd austryacki, rozpoznawszy jego pretensye, unął przywilej za nielegalny, odsunął go i dobra Krzywowierzba inkamerował do dóbr rządowych. W wojnie między Austryą i cesarzem Napoleonem, gdy książę Józef Poniatowski zawojował Galicyę obie w imieniu Napoleona, i razem niemi wojskowo i cywilnie zarządzał, Stanisław Grabowski wznowił swoją prośbę do księcia o utrzymanie siebie przy przywileju i oddanie sobie Krzywowierzby przez rząd austryacki, jakby nieprawnie zaprzeczonej. Książę Józef wiadomy powodów i związków Grabowskiego z królem, i skłonny dotrzymać stryja swego woli, rozkazał rządowi centralnemu Galicyi powrócić dobra

Grabowskiemu, wprawdzie tylko w posiadanie, zostawując ostateczne rozporządzenie legalności pretensyi przyszłemu prawemu rządowi. Rozkaz księcia wypełnionym został, a gdy po traktacie presburskim Galicya do księstwa przyłączoną została, i rząd legalny rozpoczął swoje czynności, minister skarbu Węgleński uczynił wniosek do króla saskiego o odzyskanie Krzywowierzby, a król rozpoznanie całego interesu przesłał do rozbioru i opinii Rady stanu. W deputacyi więc w tym celu wyznaczonej, tak dla osobistego położenia Grabowskiego, jako też dla związków jego z królem i z księciem Józefem znalazłem więcej skłonności za Grabowskim, niż skarbem, ofiara zdawała się być nie wielka, a pod każdym względem patryotyczna. Woroniecz szczególnie, najlepszego serca mąż popierał ją, i już był na korzyść Grabowskiego wygotował referat; gdy przyszło do rozbioru jego w deputacyi, w tym rozborze pokazała się cała nielegalność pretensyi. Król saski może udarować Grabowskiego dobrami, może mu wyświadczyć inną łaskę, lecz gdy się nas pyta o prawność przywileju nie możemy sumiennie w porównaniu z prawami polskimi i austryackimi, a oraz świeżem zastrzeżeniem w traktacie *status quo* legalności mu przyznać, przytem nie sam pan Grabowski jest w tym przypadku, naruszenie tej legalności może skarb narazić na niesłychane reklamacye i zubożyć go, a przytem traktat presburski zastrzega w całości zatrzymanie tego, co rząd austryacki nadał lub odebrał, spadkobierca nie może nadwierać urzędzeń swego jurisdatora. Takie były radców stanu prawne powody, i mimo

prośb i wymowy Woronicza odebrałem polecenie wygotować na tych zasadach referat; gdy go wniosłem na radę stanu podpisany przez wszystkich członków, a nawet Woronicza, chociaż za Grabowskim o pewne względy wnosili głos Stanisław Potocki i Woroniecz, przedstawienie opinii jednozgodne Rady stanu w duchu referatu przesłane zostało królowi. Grabowski, jako sekretarz Rady stanu, przeczytawszy to przedstawienie w kancelaryi, przy ekspedycyi załączył swój memoriał do króla, w którym oskarżył referenta o niezgłębienie rzeczy, o naciąganie dowodów i argumentów, zgłoś o fałszywe wystawienie interesu i wprowadzenie w błędną opinię członków Rady. Król ubocznemi instancyjami zniewolony, zwrócił przedstawienie do Rady stanu z poleceniem powtórnego rozbioru rzeczy, a jakby za powód do tego zlecenia przyłączył memoriał Grabowskiego. Gdy to Rada stanu odebrała, oburzono się na ten krok nierozważny i płochy sekretarza, a ja za każdym wyrazem oskarżenia czułem odzywający się wstręt i odrazę od zawodu publicznego, w którym tak niemiłosiernie i niesłusznie przywitany zostałem. Oświadczyłem Radzie prośbę, aby mi się pozwoliła usunąć od dalszego należenia do tego interesu. Lecz Rada stanu, biorąc krzywdę moją za ubliżenie sobie pośrednio, i obwinienie siebie przed królem, przywołała Stanisława Grabowskiego, jego równie nieprawne, jak ubliżające zwierzchniej nad sobą magistraturze, a zatem zasługujące na dymisyę postępowanie naganiała, a po powtórnym rozbiorze rzeczy, stanąwszy niezachwiana przy swojej opinii, mnie na powtórnego jej re-

daktora wyznaczyła. Ułożyłem więc przedstawienie w wyrazach umiarkowanych, więcej wymawiające krok Grabowskiego, niż obwiniające, dotknąłem nawet, że jeżeli sprawa Grabowskiego według praw i sprawiedliwości inaczej rozstrzygnioną być nie powinna, osoba jego i położenie zasługuje na względy, którym tylko łaskawość króla zadość uczynić może.

Byli między członkami Rady stanu tacy, którzy, zbyt oburzeni, nie dopuszczali ze strony Rady stanu tego rodzaju napomknienia, lecz większość zgodziła się na nie; jakóż król, stosownie do opinii Rady stanu dobra na skarb zająć kazał, a Grabowskiemu wyznaczył ze skarbu 18,000 złotych dożywotniej pensyi, to jest połowę tego, co dobra czynić mogły. Nagrodzony zostałem za doświadczoną przykrość przyjaźnią członków Rady stanu, spokrewnionych z Grabowskim, on zaś zaspokojony pensją, i wszedłszy w siebie, sam zbliżył się do mnie z usprawiedliwieniem się z nierozważnego kroku. Słumiłem w sercu urazę, wróciłem mu przyjazne uczucie, którego od niego nawzajem w różnych politycznych naszego kraju przygodach doświadczyłem. Ten najlepszego serca, rzadkiej uprzejmości człowiek, zawsze gotowy do przyjacielskich usług i wszystkich sobie ujmować pragnący, nikomu chyba sobie przez niesłychane [marnotrawstwo szkodliwy, lecz lekkiego i płochego umysłu, wyniesiony potem losem na najwyższe urzędy, był jednym z tych, którzy mi dawali dowody stałej przychylności. Kiedy po wypadkach 1831 roku wszedł w związki i w znaczenie w nowym porządku rzeczy, gdy mnie ukrytego

w domowej zaciszy wielu się zapało, lub z góry na mnie spoglądało, on mnie z rzadką uprzejmością pomagał w wyjednaniu paszportów dla mnie i dla syna, w czasach, w których, jako blizkich epoki rewolucyjnej, z trudnością je można było uzyskać.

Dalszy ciąg wspomnień z czasów Księstwa
Warszawskiego,

Towarzystwo stołeczne.

Nie potrzebowałem długiego czasu na zaznajomienie się z pierwszymi domami w Warszawie. Najznakomitsze osoby znałem, lecz jak najmilsze wspomnienie wyrażę poznanie i osoby i domu i rodziny całej Maryanny Lanckorońskiej, kasztelanowej połanieckiej. Stałem obok jej domu w kamienicy Abramowicza na Nowym Świecie. Brat mój, infułat Zamoycki, już jej dobrze znajomy, przedstawił mnie jej, a Ignacy Zapolski, mający za sobą synowicę jej, mój przyjaciel i spowinowacony, pochlebnie uprzędził tę panią; doznałem uprzejmego przyjęcia, a potem byłem szczęśliwy pozyskać tak stałą, ścisłą i aż do jej śmierci niezachwianą przyjaźń i ufność, iż stałem się prawie codziennym powiernikiem wszystkich jej spraw domowych. Raz w tydzień *ex officio* musiałem się znajdować z żoną i synem na obiedzie

i ledwie rzecz nie mogę, że prawie wcielony zostałem w rodzinę tej świętobliwej, oświeconej i najzaniejszej matrony polskiej. Przez podwoje tego domu codzień przewijała się od poobiedniej godziny cała Warszawa, wszyscy śpieszyli tam z czcią i uszanowaniem. Wszystkie znakomitości obojej płci, młodzi i sędziwi, urzędnicy publiczni, podróżujący rodacy, a nawet cudzoziemcy sądziliby, że sobie uchybili, gdyby się nie zaszczylicili odwiedzinami tych relikwii narodowych. Król saski ile razy był w Warszawie wyprawiał swoich szambelanów z powitaniem, królowa przysyłała do pokazania swoje pieśki, wiedząc, że je kasztelanowa lubi. Do tego domu zli tylko Polacy lub hańbą nacechowani choćby orderami okryci nie mieli wstępu, drzwi przed nimi były zamknięte, lub jeżeli się który bezczelnie przez nie przedarł, zimne przyjęcie gospodyni poważnej i sędziwej odtrącało ich. W tym domu można było poznać ducha całej Warszawy. Zastałem ją nieukontentowaną jak to powyżej wyraziłem, wesołą lecz narzekającą na nędzę, na rząd a szczególnie na mnóstwo urzędników; przypisywano winy osobom, co było skutkiem wojny i ciągłych a nieuniknionych ofiar. Najwięcej narzekano w domu pani kasztelanowej na ministra Łubieńskiego mimo to, że syn jeden tego ministra miał za sobą wnuczkę kasztelanowej połanieckiej, Szymanowską, najprzód za prześladowanie Dominika Kuczyńskiego o czem wspominałem wprzód i jeszcze niżej w szczegółach opiszę, potem za skwapliwe wprowadzenie kodeksu. Syn Łubieńskiego nieraz z ust kasztelanowej musiał słuchać gorzkich przeciw ojcu wyrzutów.

Z wielką łatwością przyszło mi zaznajomienie się i zaprzyjaźnienie z wszystkimi literatami i uczonymi, którzy wtenczas w Warszawie w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, na teatrze narodowym w publiczności i w kraju słusznie słyneeli. Nieodrażono mnie powagą, wyższością, zazdrością, lecz z uprzejmością przyciągano; winienem to był pochlebnemu o mnie uprzedzeniu Jana Tarnowskiego bardzo uczynego, a najmniej zarozumiałego męża. Niemcewicz, Osiński, Wężyk, którzy wtedy berło teatru trzymali; Staszic, Kopczyński, Linde, Bentkowski, Bohusz, gdy się im przedstawiłem, chętnie mnie przyjaznemi wyrazami przygarnęli do siebie. Szczególnie związałem się z Osińskim, któremu jednogłośnie i słusznie szczytny i naczelny talent w poezyi przyznawano. Znałem go od dzieciństwa mego we Wronowie w Lubelskiem, gdzie wspólnie przepędzaliśmy wakacye, powzięliśmy dla siebie czułą przyjaźń bez zazdrosnej emulacyi, bo któżby przed sobą pierwszego miejsca w poezyi Osińskiemu nie ustąpił, kto tylko pisma jego czytał; jedne wyobrażenie o literaturze, jedne patryotyczne uczucia wspólny umysłowy pokarm na jednej drodze i w administracyi krajowej i w literackim zawodzie ściśle nas połączyły; był on wtenczas sekretarzem ministeryum sprawiedliwości, sekretarzem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wkrótce został pisarzem Sądu Kasacyjnego po świeżo zmarłym Ks. Franciszku Dmochowskim, wydawał od niego odumarły dziennik, wezwał mnie do dawania mu ulotnych w poezyi tworów, umieszczał je w swoim dzienniku. Przyjemnem dla mnie było towarzystwo tych nowych znajomości.

Starsi przyciągali młodsze i objawiające się talenta zachęceniem, kierowali łagodną i nie uszczypliwą krytyką; młodzi szanowali powagę starszych, uczeńszych i zasłużeńszych i ubiegali się o ich potwierdzenie i krytyczne zdanie. Nie było pychy w starszych, zarozumiałości w młodszych, zazdrość wygnaną była z tego patryarchalnego, że tak powiem związku; literatura nie była pędzona w powietrze parową machiną, nie przeskakiwała lokomotywą gór i karków nie łamała. Szła po ziemi powolnie, uważnie, roztropnie, umiarkowanie; rosła, wznagała się, oparta na niewzruszonej podstawie starożytności, na tej zasadzie prawdziwego rozumu i smaku. Dzieci w szkołach nie były mędrkami, ani mędrej dziećmi; jedno było godło, jedno hasło: służmy poczciwej sławie etc. Wilno uznawało Warszawę za stolicę literatury; Krzemieniec, dopiero założony, jeszcze z pretensją wyższości nie wystąpił; Sniadecki w Litwie, Czacki i Kołłątaj na Wołyniu piórem, wyobrażeniami, zasadami wiązali prowincye z Warszawą. Lwów jeszcze milczał, lub cisnął się ku Warszawie, zgoła chociaż była powszechna nędza i niedostatek utyskiwania wymuszał, moralna strona kraju krasila wszystko zgodą, wesołością. Żyły jeszcze w sercach wielu owe szlachetne uczucia ze starej Polski, wyczerpane służenia krajowi o swoim chlebie, żyła jeszcze w sercach owa pieśń Krasickiego w młode umysły wpojona: *Święta miłości kochanej ojczyzny, byle cię tylko wspomódz, byle wspierać, nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!* Pensye, wyznaczone na etacie, były wprawdzie znakomite i kraj na nie narzekał, lecz ich nie płacono wyższym urzędnikom,

ledwie niższych niemi utrzymywano; nikt się na zaległości nie uskarżał, nikt ich się nie domagał. Mnie samemu, gdy po kilku miesiącach urzędowania przyniósł woźny worek z miesięczną pensją dytkami pruskimi, zarumieniłem się jakby mnie chciał przekupić; zdało mi się, że z urzędnika zostanę jurgielnikiem, wiersz stosowny wyskoczył z mego serca i umysłu; gdy zaś później spostrzegłem nieznaczone nawyknięcia, a potem ubieganie się przy końcu księstwa o ten jurgiel, umieściłem go w mowie Katona cenzora o obyczajach Rzymu, wydrukowanej w dzienniku Bentkowskiego!

Tak gdy się podlą jedni, ubiegają drudzy
Otóż owoc, że synów zastąpili słudzy.

Kiedy umysł i serce są zadowolone i szczęśliwe, fizyczny niedostatek jest niczem, doświadczyłem tego w Księstwie Warszawskim, żyjąc skromnie, oszczędnie, bez uczt, bez wystawy, niezadzroszcząc możniejszym wyższości majątkowej. Była weselość, często radość i uciecha, bo było bezpieczeństwo, swoboda, wolność, niepodległość, a nade wszystko nadzieja powrotu dawnej Polski; nie zważano na wymagania wojska, czasem na nadużycia, bo te meżtwem, sławą tego wojska i pochwałami przez Napoleona dawanemi sowicie wynagradzane były. Uczty bywały rzadkie, obchody publiczne częstsze, wszędzie panowało braterstwo i względy winne sobie nawzajem. Dla mnie nie było szczęśliwszych czasów jak te trzy lata trwania księstwa pod berłem monarchy najbogobojniejszego, najsprawiedliwszego, najrzędniejszego, z całą religią świętość

swego powołania kochającego lud swój, znającego i przebaczonego wady, a ceniącego zalety Polaków, pamiętnego przywiązania tego ludu do swoich królów i usprawiedliwiającego w całej rozciągłości wybór swój na króla polskiego, pod rządem mówię najenotliwszych, najoświecieńszych rodaków, których sobie do pomocy wezwał. Rzec mogę, że król saski był to w ludzkiej postaci obraz bóstwa władzącego tym krajem. Niestety! kiedy wspomnimy, że w kilka lat później kongres wiedeński wrócił na tron Ferdynanda Hiszpańskiego, a króla saskiego za wierność traktatom uwięził i na korzyść Prus z prowincyi obrał, co przychodzi myśleć o sprawiedliwości politycznej na świecie! Ja się tylko temu dziwię, że cesarz Aleksander, ten ówczesny Tytus czy Trajan, który w Polakach uczcił wspaniałością swoją uczucia dla ojczyzny i wierność ich wojska dla Napoleona, nieprzeszkodził tej gorszącej wieki i potomność niesprawiedliwości.

Podczas urzędowania mego dwa czyli trzy razy król saski zwiedził Warszawę, przyjazd jego nie był żadnem utrudzeniem kraju, jechał pocztą z niezlicznym orszakiem, poprzedzony na dni kilka dworem dla ulżenia poczcie. Jechał, jak widziałem, w lecie, w otwartym pojeździe, w płaszczyku płóciennym na mundurze kadeckim, w kapeluszu, którym z uśmiechem kłaniał się biegnącemu i wołającemu *vivat* społeczeństwu. Byli tacy co taki wjazd króla znajdowali zbyt skromnym i przypisywali go wygórowanej oszczędności. Wystawa Polakom zawsze się podobą i ujmuje. Odpowiadali im rozsądniejsi; dziękujecie Bogu, że macie takiego króla, który dla siebie

żałuje wydatków, a dlatego siedem milionów należącej mu ze skarbu pensyi nie tyka się i zostawia ją na potrzeby kraju; nie otacza go służba ugalonowana i bogata, lokaje jego przywoicie okryci wygodnie umieszczeni, opaśli i zestarzali w służbie, są świetniejszym orszakiem tego dworu, bo reprezentują majestat władzy rozlewającej szczęście około siebie.

Podczas bytności króla bywały zebrania u dworu, o których marszałek dworu publiczność uprzedzał, powszechnie bywały wieczorem. Wolny był wszystkim w mundurach przystęp. Damy znakomite już znajome królowi lub pragnące się przedstawić, stawały w półkole po jednej stronie, mężczyźni po drugiej, marszałek dworu ustawiał, zapytywał o imiona i ułożoną kolejną szykował. Przed audyencyą przechadzano się śmiało i głośno rozmawiano z pewnym rodzajem swobody i ufności; gdy godzina nadeszła drzwi rozwarły się od gabinetu króla, marszałek nadworny Jan Małachowski z laską w ręku ukazał się pierwszy, powtarzając głośno: „Mości panowie, król Jego Mość idzie”. Wszedł za nim, król, królowa, księżniczka Amelia otoczeni szambelanami, ministrami saskimi i polskimi i obchodzili najprzód półkole żeńskie potem męskie, równie król jak królowa przedstawionym czynili zapytania, z uprzejmością rozmawiali, nikt nie odszedł bez usłyszenia z ust ich kilku słów uprzejmych. Następnie król siadał przy stoliku do gry w wista, szambelanowie obnosili wezwania osobom przeznaczonym do partyi z królem i z królową; skoro się ułożyła partya, publiczność przytomna zaczęła chodzić, rozmawiać,

gwarzyć, czasem zbyt głośno śmiać się co sprawiało taki hałas, iż Małachowski marszałek, stojący przy stoliku króla, musiał kilkakrotnie stuknięciem laski przypominać głośno gwarzącym obecność króla. Król z uśmiechem rzekł nieraz do niego: „Daj Wpan pokój, niech się bawią”, i zdawał się czuć i okazywać na twarzy wewnętrzną pociechę, że się jego władzy nie boją, lecz ją otaczają ufną swobodą. Zwykle przed północą kończyła się partya i królestwo odchodzili. W czasie takiego wieczora roznoszono wyborną orszadę i limonadę, która zyskała nazwisko pocziwej limonady saskiej.

Podczas bytności króla, czyli przy sejmie lub też przy innej okoliczności, trzy razy na tydzień w zamku odbywały się sesye Rady stanu, na których rozmaite rozbierano projekta i urządzenia; król zwykle na nich osobiście przydywał. Zbierano się powszechnie po lewej stronie sali wielkiej, w pokoju obszernym postawiony był długi stół zielonem, cienkiem suknem okryty i krzesłami na koło otoczony; dla króla na początku stołu umieszczone było na stopniu krzesło wielkie, aksamitem karmazynowym obite. Stolik równie zielonem suknem okryty, odsunięty na kilka kroków ku drzwiom od stołu Rady stanu, był przeznaczonym dla referendarzy i sekretarza. W początku Księstwa Warszawskiego, referendarze zasiadali na końcu Rady stanu, lecz król, dowiedziawszy się, że za dawnej Polski referendarze kor. w Radzie nieustającej mieli osobne umieszczenie i stolik, polecił i w Księstwie Warszawskiem wyznaczyć osobne i oddzielne miejsce tym urzędnikom, co się niezmiernie niepodoba-

ło Linowskiemu i Staszicowi. Król zły humor tych panów uleczył wyniesieniem ich na radców stanu. Gdy ostrzeżono, że król ruszył się z swego gabinetu, zwykle przed godziną drugą, cała Rada stanu *in corpore* wychodziła do wielkiej sali, naprzeciw niego i wprowadzała go. Zwykle był ubrany w mundur kadecki z gwiazdami, wstęga niebieska pod frakiem, w trzewikach, pończochach, kapelusz stosowany białymi strusiami piórami obłożony, trzymał pod pachą; gdy zasiadł na krześle, minister sekretarz stanu Breza, z teką i papierami usiadł naprzeciw króla, na końcu stołu, ministrowie kolejną wydziałów, a radcy stanu kolejną nominacyi obsiedli stół. Pan Stanisław Potocki, zaczynał szereg zasiadających po prawej stronie, minister Łubieński po lewej, referendarze podobnie swój oddalony stolik obsiedli. Przeczytawszy minister sekretarz stanu protokół ostatniego posiedzenia odczytał następnie kolej przychodzących pod rozbiór projektów, król po zapytaniu ministrów, oznaczył jaki projekt ma być wniesiony, wezwany więc przez ministra sekretarza referendarz, stawał przed królem i stojący czytał referat. Członkowie Rady, przymawiać się pragnący, prosi króla o pozwolenie i porządkiem zaczynała się dyskusya, król cierpliwie słuchał, przymawiał się, uwagi czynił po polsku, mówił bowiem naszym narodowym językiem nieco trudno i powolnie, ale razem starannie, gramatykalnie i jasno. Gdy który z radców Rady stanu, chcąc być lepiej zrozumianym przez króla wpadł w rozprawę językiem francuskim, co się najczęściej Kochanowskiemu trafiało, król przerywał mówiąc: — „Proszę

po polsku, bo pan Rządkowski nie rozumieⁿ. Zdarzało się, iż gdy dyskusya długo trwała, ten pan umordowany czasem zadrzymał; o godzinie czwartej zajrzawszy na zegarek, zamykał sesyą i wychodził tym trybem jak przyszedł. Po odejściu króla, dwóch kamerdynerów wносиło stoliki i na dwóch wielkich tacach obfite śniadanie z suchych konfitur, szynek, likworów i w czterech małych buteleczkach spleśniałych stare wino jeszcze od Augusta II zachowywane—wszystko z apetytem zmiecione bywało, a szczególnie stare wino jako nader rzadkie. Na jednym z takowych posiedzeń doświadczyłem tego świątobliwego i dobrego monarchy rzadkiej względem siebie delikatności. Byłem referentem projektu o egzekucyi podatków, który był wniósł do Rady stanu minister skarbu Węgłęński; w przekonaniu mojem uznałem go do zamierzonego celu nieskutecznym, a zatem niepożytecznym i niepotrzebnym. Za tą opinią moją poszła cała Rada jednogłośnie; gdy do króla przesłany został, minister, poparłszy w nowem przełożeniu swoje powody, upraszał króla mimo opinii Rady stanu, aby projekt jego zamienił w dekret. Król całą ekspedycyą wrócił do Rady stanu, zastrzegając aby całą rzecz zatrzymała do przybycia króla do Warszawy, gdyż tę materję chce mieć rozbieraną w obecności swojej: W przytomności króla, wezwany zostałem do przygotowania i wniesienia na Radę stanu projektu i przedstawień ministra. Gdy przeczytałem referat przed królem i Radą, król uczyniwszy kilka uwag *pro* i *contra* zapytał się Rady stanu o zdanie. Po skończonej dyskusyi, gdy król spostrzegł niezmienną opinią członków przeciw

projektowi ministra, zapytał mnie:— „Jakież W pana jest zdanie”. „Ja, Najjaśniejszy Panie, nie mogę mieć tu zdania, a opinią moją wyraziłem w moim referacie”. „A więc się W pan upierasz przy swojej opinii”; na to ja zamilkłem, lecz pokłoniwszy się z uszanowaniem odszedłem na swoje miejsce. Uważałem, że król potem kilka minut rozmawiał z panem Stanisławem Potockim, a następnie, oświadczywszy, że potwierdza opinią Rady stanu, zamknął posiedzenie. Przechodząc około stolika referendarskiego, z uprzejmą łagodnością spojrzął na mnie i uklonił się; gdy odprowadziwszy monarchę do jego gabinetu wróciliśmy na posiedzenie, pan Stanisław Potocki, wzięwszy mnie pod rękę, rzekł:— „Wiesz, że król myślał, iż cię uraził i pytał mi się, czy się dobrze wyraził, chcąc wiedzieć czy i ty tego samego jesteś zdania. Wytłomaczyłem mu, że słowa:—upierasz się, używa się na naganę. Odpowiedział mi, „więc się źle wyraziłem”. Tego samego dnia wieczór, odebrałem od ministra sekretarza stanu Brezy, bilet następującej treści:—„Król Jego Mość, wysyłając mnie w podróż, rozkazał mi wezwać referendarza stanu K., aby mnie zastępował, w trzymaniu protokołu na Radzie stanu, a to w dowód swego ukontentowania z jego prac publicznych”. Zastępowałem więc przez parę dni ministra sekretarza stanu, chociaż młodszym byłem od innych, a ta łaska królewska stała się dla mnie tak chlubną, tak drogą, iż żaden zaszczyt, order lub tytuł przewyższyć jej w pamięci mojej i uczuciu wdzięczności nie mógł. Co za delikatność, jaka znajomość ujmowania sobie serc! — W kilka dni hrabia Senft Pilsach minister intere-

sów zagranicznych wezwał mnie do siebie i oświadczył mi życzenie króla, abym wszedł do deputacyi, w celu regulowania sum Bajońskich wyznaczonych, a której członkowie na system zgodzić się nie mogli i ciągle o ten system spory, między dwoma Wyczehowskimi i prawnikami pruskimi, a Kochanowskim, radcą stanu spóźniały skutek. Króla ktoś uprzedził, iż ja mam ścisłą przyjaźń z Kochanowskim i mogę wpływem swoim przyłożyć się do zgodnego uregulowania przedmiotu; przyjąłem z uszanowaniem i z chęcią królewski rozkaz, nie rękując za skutek. Król, ujrzawszy mnie na publicznej audyencyi, przystąpiwszy do mnie z uśmiechem łaskawości, rzekł do mnie:— „A ja Wpanu znowu nową pracę dałem”. „Obym tylko Najjaśniejszy Panie znalazł w sobie tyle zdolności do spełnienia woli W. K. Mości, ile mam chęci”. „Wpan to dobrze zrobisz”. Powiodło mi się, deputacya trafiła nakoniec na środek godzący rozróżnione opinie i projekt królowi przedstawiony został. Odtąd przy każdej audyencyi król z łaskawem czołem przystępował do mnie, a Senft Pilsach oświadczył mi, że król czeka tylko najpierwszej sposobności okazania mi dowodu swego ukontentowania. Nie taję, że do tej opinii o mnie wiele się przyłożyła opinia i względy dla mnie ministra francuskiego Serry, a szczególnie Stanisława Zamoyskiego, wojewody, Tadeusza Matusiewicza mego przewodnika i przyjaciela, Małachowskiego marszałka, Wielhorskiego, lecz lubo czystą moją chęcią służyłem krajowi, nie dla wyniesienia, nie dla nagród te pochlebne dla mnie nadzieje przerwały się wraz z nową dolą Księstwa Warszawskiego, które

do innej sfery przeznaczeń powołaniem było i już przygotowania do przyszłych swoich losów i w umysłach i na ziemi Księstwa czuć się dały.

Wspomniałem wyżej, że najszcześniejsze chwile życia mego w publicznym zawodzie w Księstwie Warszawskim przezemnie spędzone były. Nie brakowało nam na domach, w których momenta odpoczynku przyjemnie się spędzały; nie było w nich wystawy. Można nawet i bogate domy, zubożone ofiarami, przyjąć skromny, lecz przystojny i przyzwoity sposób życia. Codziennie prawie bywały obiady lub wieczory nie gromadne, nie głośne, nie szumne, lecz wyborowe i przyjacielskie; ludniejsze zbierania, wystawniejsze fety, zostawiono tylko uroczystościom cesarskim. W prywatnych domach nie bywały obiady liczniejsze jak na 24 lub 30 osób, kielichy wielkie wygnano, wino tylko szampańskie zachowało swoje prawa do wysokich, wysmukłych kielichów. Czasem się tylko zjawiał stary węgryz. Dom Zamoyskiego wojewody, trzymał pierwsze miejsce z niejakiej wystawności w liberyi, w posłudze i z zapraszania kolejnego, osób znanych, bądź z posług krajowych, bądź z literatury; na wieczorach w tym domu czytali w obecności dam patriotyczne poezye, teatralne sztuki, ulotne wiersze, pisarze już pewnej reputacyi lub świeżo wyjawiający się z nieśmiałym lecz niewątpliwym talentem. Dom wojewody Stanisława Potockiego, równie uczęszczany, oświeceniem, miłością nauk wsławiony, tym samym powabem dla uczonych jaśniał. Dom generalstwa Wielhorskich, Jana Małachowskiego, marszałka nadwornego, Józefa Krasińskiego oboźnica,

Aleksandra Chodkiewicza, na mniej liczne, lecz dobrane i poufale obiady i wieczory spraszał; w tym samym rodzaju rad był zawsze u siebie miewać: Linowski, Badeni, Matusiewicz, Grzybow, a w nim Gutakowski wojewoda. Nie dały się upośledzać domy dwóch Ossolińskich, kasztelana podlaskiego i prezesa apelacyjnego. Dom księcia Józefa Poniatowskiego, Ostrowskiego wojewody, kasztelanej połanieckiej, zawsze otwarte, zapraszały i przyjmowały równie cywilnych gości, równie cudzoziemców jak swoich, byleby poprzedzonych dobrą reputacją. Serra, minister francuski, niekiedy na poufale i literackie obiady zbierał do siebie gości, na uroczystości cesarza dawał wystawniejsze i liczniejsze bale i wieczorne zgromadzenia. Przez czas trzechletni Księstwa Warszawskiego, trzy się odznaczały uroczystości. Obiad wielki dla księcia Józefa Poniatowskiego, przez wojsko na uczczenie zwycięstw jego nad Austryakami dany, o którym pod osobą tego księcia wspomniałem; bal wielki przez miasto Warszawę w pałacu Raczyńskich wyprawiony i bal kostiumowy u Serry, rezydenta francuskiego w pałacu Teperowskim, na którym książę Józef Poniatowski, zwykle w mundurze wojskowym chodzący, po powrocie swoim z Paryża, raz pierwszy ukazał się w ubiorze dworskim francuskim, w trzewikach, pończochach, w materyalnym haftowanym jedwabiami kolorowym fraku i ubiorze. Policzę do tych przyjemnych schadzek i zgromadzeń wieczory małe u Orzechowskiego, Okszyca Galicyanina sędziego apelacyjnego Księstwa Warszawskiego, które Horacyuszów polskich, masykiem zielonym w To-

kaju ciśnionym przywabiała, na które często za węchem odetkanego korka z zapleśniałej butelki, proszony, czy nie proszony przechodził ów wsławiony bufon Warszawy Okołów, trębacz wszystkich plotek, jeszcze nie tak spodlony jak później, uczony, dowcipny, wesoły, często płaski, zawsze prostacki w wyrażeniach, lecz rozśmieszać i sobą i drugimi w najwyższym stopniu umiejący, bawił, rozweselał parodjami uczonemi, pospolitemi swawolnemi uczonych i nieuczonych — zgoła przy biedzie i nędzy fizycznej, umysłowe, moralne życie wśród nadziei najszcześniejszej płynęło.

W literaturze ważnej trzymał berło z obecnych Stanisław Potocki, Staszic, Linde, Kopczyński, Bohusz, z nieobecnych Czacki, Śniadeccy i t. d. W poezyi Osiniński, Niemcewicz, Wężyk, Molski, Felński, Krópiński, nadsyłali swoje płody, mimo przedziałów kraju. Literatura była jednolitą, jednym duchem tchnęła, do jednego celu dążyła, wszystko się jak w ognisku w Towarzystwie Przyjaciół Nauk pod jedną barwą skupiało, niebyło jeszcze akademii, Krakowska tylko nadsyłała płody naukowe swoich profesorów.

Fijałkowski jeszcze był niewydał tłumaczenia Horacyusza, a jego o zasadach literatury opinia nie zawsze się podobała Stanisławowi Potockiemu i ten tylko jeden między nimi przypominam sobie spór. Znakomitsza młodzież chowała się za granicą w Francyi, co usprawiedliwiały stosunki między Francją i Polską; było kilka pensyi męzkich założonych przez oświeconych Francuzów. Guwernantki po domach powszechnie były francuskie, angielskie się

jeszcze nie zjawily; byly i pensye uprzywilejowane, przez Polki prowadzone. Liceum warszawskie w palacu Saskim umieszczone pod zwierzehnim dozorem rektora uczonego Lindego, tego prawdziwego ojca mlodziezy, zacnego pracowitego i oddanego z calem poswieceniem moralnemu i naukowemu wyksztalce- niu mlodego plemienia; przy profesorach uczonych Polakach, jak Bentkowski, Szwejkowski i inni i spol- szezonych cudzoziemcach, wydawalo mlodziez skrom- na, niezrozumiala, sklonniejsza zapatrywac sie i nasladowac starszych, jak ich czyny i dzieła roz- bierac i krytykowac; nierozprawiala o polityce, o kraju, kochala ojczyzne, lecz kierunek jej losow zostawiala starszym. Naturalnym tokiem rzeczy po ukończeniu nauk wiecej w niej bylo chęci do oręza jak do literatury, bo rozumiala dobrze swoje obo- wiazki względem ojczyzny; powiedzmy prawde, ze czasy wojenne nie sa przyjazne naukom, przeciez w KsieŹstwie Warszawskim, *inter arma non silebant musae*, a przyznamy to zaslugom meżow dojrzalych, patriotow prawdziwych, miłosnikow nauk oświeco- nych, ze nie dozwolili wiekowi Stanisława Augusta cofnac sie, ale go niezmordowaną usilnością powol- nie wprawdzie, ale systematycznie i wytrwale dalej posuwali. Ksiązę general Czartoryski, Potocki Sta- nisław, Staszic, Linde, Dmochowski, Wolscy, Bent- kowski i zakon księzy Pijarów i członkowie Towar- zystwa Przyjaciół Nauk mają w tem niezaprzczo- ną zaslugę. Młodzi, wychodzący ze szkół, mniej sie cislęli do biur, do urzędów, najczęściej prosto z ławek szkolnych przesiadali sie na konia, w miejsce porzuconych piór, brali szablę do ręki; ten był duch

Księżstwa, ta żądza znaczenia. Dlatego nie dały się czytać, ani w gazetach, ani w ulotnych pismach żadne wybryki niesfornej imaginacyi, żaden z młodych czy pod wojskową, czy pod cywilną szatą, nie przylepiał sobie woskiem skrzydeł, nie wzlatał pod nieba, nie wydzierał prośbami lejców Appolino-wi od jego koni, nie wsiadał na wóz i nie zapalał świata, bo się z przykładu bał gromowładcy, aby go piorunem nie strącił, a tym gromowładnym Jowiszem był Napoleon, przed którego piorunami równie Europa, jak najmniejsze księstwa drżały. Po jego upadku dopiero, wśród pokoju i rosnących nadziei, wtrącony został cały, moralny porządek w uczuciach, wyobrażeniach, w smaku, w odmět, z którego tylko Bóg jeden i to nie zaraz, kraj ten wyprowadzić może, słowy *fiat lux*.

Ciekawsze zdarzenie w czasie trwania Księstwa Warszawskiego aż do konfederacyi, która je w Królestwie przerodziła, opowiedziałem pod osobami ministrów, znakomitszych radców stanu; opowiedziałem w żywocie brata mego Józefa biskupa kalisko-kujawskiego. W tem miejscu jedno sobie przypominam: zjawienie się w przejeździe przez Warszawę księcia Ludwika Wirtemberskiego rozwiedzonego męża księżny Maryi z Czartoryskich, za sejmu konstytucyjnego naczelnego dowódcy armii litewskiej, który ją po odstąpieniu króla pruskiego od naszej sprawy odstąpił, następnie z służby pruskiej wszedł w służbę siostrzeńca swego cesarza Aleksandra. Od owego czasu nie pokazał on się w Polsce i Warszawie, zjawienie się jego zadziwiło i dało powód do różnych wniosków,

zwłaszcza w chwili już wyjawiających się nieporozumień Rosyi z Francją; z dawniejszych czasów zadłużył się on był wielu kupcom i bankierom niektórym warszawskim, obsiedli go więc zaraz kredytorowie, a gdy im wypłacić się nie mógł i do wyjazdu się zabierał, postarali się u ministra sprawiedliwości i policyi o urzędowy i osobisty areszt; musiał więc pod policyjną strażą w swoim mieszkaniu pozostać aż do wypłatności. Nie wiem czy przez układ z kredytorami, lub nadesłanemi pieniędzmi z Prus lub Rosyi wykupił się; mówiono zaś powszechnie, że się udał do rozwiedzionej z sobą małżonki księżny Maryi Czartoryskiej jako matki księcia Adama Wirtemberskiego i że księżna ta znana ze swoich cnót i wspaniałej szlachetności, nadesłanem z Puław czy zaręczeniem, czy gotowemi pieniędzmi wykupiła go i uwolniła.

Skończę ten artykuł o księstwie sławną sprawą Dominika Kuczyńskiego z ministeryum sprawiedliwości, a raczej z Feliksem Łubieńskim ministrem, która takie oburzenie umysłów sprawiła nietylko w stolicy, lecz w całej prawie powszechności narodowej i to do tego stopnia, iż od przyjazdu mego do stolicy aż do konfederacyi Królestwa Polskiego, pod którą się ukończyła, utrzymywała w stanie niespokojności wszystkie domy, wszystkie towarzystwa, wszystkie zgromadzenia, sejmy i podniecała niechęć przeciw ministrowi i jego doradcom. Napomknąłem i w opisanu początków księstwa i pod osobą ministra Łubieńskiego powody do niej; tu dam ją poznać obszerniej dla dokładniejszego wyobrażenia, zacznę od opisania osoby Dominika Kuczyńskiego,

z tą bezstronnością i dobrą jego całej natury znajomością, jakiej się nauczyłem nie od brukowych języków, lecz z akt i czynów całej sprawy, której byłem nieszczęśliwym referentem.

Dominik Kuczyński jeden z synów Kuczyńskiego, podkomorzego mielnickiego, obywatela możnego, zacnego, dobrego i gorliwego Polaka, którego dla przewagi majątkiem i liczną zamożną rodziną królikiem podlaskim w tem województwie i kraju nazywano, owego Kuczyńskiego, który wezwany przez księcia Repnina, aby wpływem swoim skłonił swoich współobywateli do wybrania na poselstwo na sejm podziałowy życzliwego Rosyi posła, on w przysłanego sobie oficera rosyjskiego kandydata z rzadką śmiałością, jakby na szyderstwo z tego księcia, tym posłem wybrał, za co potem ten oficer prostak i dobroduszny, gdy z swoim laudum jak w tryumfie przed ambasadorem się stawił, łatwo zgadnąć jak przyjęty został. W domu już ojca wyrabiał w sobie Dominik Kuczyński charakter republikański, nieugięty, śmiały i do oporu władzy skłonny. Oddany na nauki do konwiktu nobilium księży Pijarów w liczbie znakomitszych i zamożniejszych współuczniów (jak mi oni opowiadali) odznaczał się pilnością, bystrością pojęcia, dowcipem, a razem pewnym rodzajem drażliwego charakteru, w językach tak starożytnych jak nowożytnych dobrze wyuczony, pod polską suknią wystawiał postać wykształconego dobrze, a zawsze duchem narodowym odznaczającego się młodzieńca; pamiętając dobrze wiek Augusta III, w którym palestra, to jest praktyczna szkoła prawa polskiego po zwinięciu

wojska pod Augustem II stała się dla szlachty wyłącznym zawodem, a potem tę szlachtę na pieniaczów zamieniła, Kuczyński z obcowania samego nabył jakiejś skłonności, z której o smak w pieniaczowie można go było posądzać, nie z chciwości zysków, lecz raczej z nałogu, przewodzenia tym lub owym sposobem, aby na swoim postawić. Posiadłszy majątek po ojcu i podzieliwszy się z braćmi, póki Polska trwała żył z obywatelami, po podziale Polski nie mógł nawyknąć do rządu pruskiego, zniechęcił cudzoziemców, którym podlegał, nakoniec zrażony drobnymi dokuczaniem, sprzedał stryjecznemu bratu swoją milionową schedę i przeniósł się jako samotnik do Warszawy, aby swobodniej pod gubernatorem Kölllerem mógł życie prowadzić. Gdy go poznałem miał lat blisko pięćdziesiąt, był wzrostu słusznego, miernej otyłości, twarzy białej, pełnej i rumianej, włosów jasnych, głowy już nieco ołysiałej, ubierał się starannie w rozmaitego koloru taratunki. Gdy wychodził na ulicę, brał na siebie półbekieszek z futrem w zimie, w lecie kacabajkę. Stał u Gąsiorowskiego w hotelu angielskim, zajmował połowę dołu po prawej stronie. Warszawa wtenczas zamieszkaną była przez wiele możniejszych rodzi, z których członkowie i do sejmu konstytucyjnego i do powstania Kościuszki należeli, nadto po rozwiązaniu się legionów polskich we Włoszech, wiele cywilnych i wojskowych wychodźców garnęło się do niej, wiele też było brukowych próżniaków, którzy pozorem patriotyzmu zwykli pokrywać swą niemość. Kuczyński z natury swojej trudny do pogodzenia się z jakim bądź rządem, zgoła z tego rodzaju lu-

dzi, których Francuzi *les Frondeurs* nazywają, zgromadzając około siebie przyjaciół jednego sposobu myślenia z sobą i w ich męzkim żyjąc towarzysztwie, wspomagając potrzebnych, wspierając hojnie szpitale, zakony, klasztory, sypiąc jałmużny między ubogich, równie tą szlachetną hojnością jak związkami, to pokrewieństwa, to przyjaźni z najznajmniejszymi patryotycznymi domami, szczególnie z marszałkiem senatu Małachowskim, stał się nie tylko popularną, patryotyczną potęgą w Warszawie, lecz, że tak powiem, bożyszczem ubogiego ludu, który co dzień zgromadzał się rano przed jego domem i nigdy bez jałmużny nie odszedł. Przeciwnie Feliks Łubiński za rzeczpospolitej polskiej starosta nakielski, sam znakomitego imienia potomek spokrewniony przez żonę z Bielińskimi i Sanguszkami prawy człowiek pobożny i patryota, brat przyrodni Prota Potockiego starościca guzowskiego, sławnego bankiem i bankructwem, odzyskawszy to dziedzictwo to, starostwo guzowskie, drogą zamiany z rąk pruskich, zamieszkał w Guzowie, oddał się zupełnie gospodarstwu i fortunie i jakby się starał podobać więcej rządowi obcemu, jak mniemaniom powszechności, za wzorem swego przyrodniego brata, myślał o zakładaniu fabryk w Guzowie, sprowadzał i osadzał kolonistów Niemców, a dla ich zachęcenia chciał, jak twierdzono, wymurować w Guzowie kościół protestancki, co obraziło równie opinią katolicką, jak patryotyczną. Przedstawiony królowi pruskiemu przez rząd, otrzymał order orła czerwonego. Dość tych powodów do obudzenia nieprzychyłnej opinii, do posądzeń o fałszywe nabożeństwo do

uprzedzeń, jakby przeciw obojętnemu patryocie. Gdy wojska francuskie weszły do Warszawy i na czele komisji rządzącej Stanisław Małachowski postawiony został, Kuczyński tę samą rolę na większą stopę rozwinął. Łubieński swoją odmienił, Kuczyński wzywany do urzędów żadnego nie przyjął, lecz zamierzył sobie wszystkim doradzać, wszystkich uważać, wolał sądzić, jak być sądzonym. Wszedł jednak do komisji żywności, podjął się odwiedzać szpitale wojskowe i ich wygodzie pomagać, co mu dało sposobność ujmowania sobie Francuzów. Odwiedzał albowiem jatki, stragany, kupował żywność i swemi rękami rozdawał je Francuzom, czem ich sobie jedna i w popularności wzrastał. Łubieński chcąc się okazać tem, czem był w istocie, to jest dobrym Polakiem i patriotą, widział przed sobą przeszkody nagromadzone z przeszłości; nie wezwany do żadnego znakomitego urzędu, starał się gdziekolwiek nogę w strzemię włożyć, pewnym będąc, że jak dobry i zręczny jeździec konia dosiędzie. Wydział sprawiedliwości prowadził pod rządem francuskim Józef Kalasanty Szaniawski, dawny prawnik w Polsce, potem emigrant i przez przyjaźń z Wielkopolanami, szczególnie z generałem Niemojewskim, mający związki ze wszystkimi legionistami i używający słynności filozofa niemieckiego; kierował więc tym wydziałem z pomocą towarzyszków swoich Orchowskiego, Neymana i Horodyskiego także filozofa ze szkoły niemieckiej lwowskiej. Łubieński więc, acz do arystokratycznych rodzin należący, zbliżył się do Szaniawskiego i próżność jego ujął, gdyż lubo to nie odpowiadało ani jego wiekowi, ani

jego znaczeniu dawniejszemu, zażądał pod jego zwierzchnictwem pracować i w wydziale sprawiedliwości dopomagać. Szaniawski, któremu to pochlebiało mieć takiego podwładnego, ani się spostrzegł, jak niebezpiecznego dla siebie nabył pomocnika; był on pewnym urzędu ministra i chlubił się protekcją udzielaną Łubieńskiemu, tymczasem protegowany przez swoje i rodu swego związki u dworu saskiego, ujrzał przed sobą otwartą drogę do ministerium. Po wprowadzeniu konstytucyi Napoleońskiej, skoro przyszło do nominacyi ministrów, jakie zadziwienie ogarnęło wszystkich, gdy Szaniawski prokuratorem generalnym, a Łubieński ministrem sprawiedliwości mianowanym został. Przypisywano to staraniom Bielińskich i księcia Stanisława Jabłonowskiego, równie jak osobistym skłonnościom króla, który pomny na wierność dla domu saskiego prymasa Łubieńskiego chciał dać dowód pamięci dla jego rodu, a przytem wyobrażenia filozoficzno-sceptyczne Szaniawskiego, jakie, będąc za granicą, wyznawał, mogły odstręczyć króla, gdy przeciwie życie przykładne, patryarchalne i pobożne Łubieńskiego przez usta dworskich, a szczególnie Schneidera spowiednika królewskiego, który uczęszczał do domu Łubieńskiego, głoszone, ułatwiło mu drogę do przekonania pobożnego i religijnego króla. Nie trudno więc wnieść, z jaką urazą i nienawiścią Szaniawski i jego pomocnicy udali się z żalami pod protekcję opinii publicznej i jej reprezentanta Kuczyńskiego, który już był nad wszystkimi urzędowemi biurami swój cenzorat rozciągnął. Łubieński zrozumiał swoje położenie, mając króla po sobie,

nie wiele ważył skargi urażonych, chcąc jednak usprawiedliwić swój wybór i razem poprzeć się silniejszymi związkami, zaczął obsadzać sądy i biura bez względu czy zniemczonymi czy niewynarodowionymi rodakami byle tylko dobrze uczonymi w prawach i zdolnymi. Powołał więc zaraz do biura swego na konsyliarzów dwóch Wyczechowskich rodzonych siostrzeńców Józefa Wybickiego, Woźnickiego Kalinowskiego i innych młodych wprawdzie, lecz znakomitemi odznaczających się zdolnościami, a wykształconych w szkołach pruskich, nawykłych do porządku i posłuszeństwa bezwarunkowego dla władzy, lecz obcych zupełnie nie tylko nawykniom narodowym, ale nieznających charakteru współziomków, lub tylko ze złej strony świadomych go i napojonych przez obcych mistrzów nienawiścią do wszystkich instytucji liberalnych, zgoła z wyobrażeń więcej Prusaków, niż Polaków. Wezwanie Wyczechowskich zjednało Łubińskiemu przyjaźń Józefa Wybickiego członka komisji rządzącej, a potem senatora wojewody, gorliwego patrioty, znanego Napoleonowi, uważanego przez króla saskiego i przewodniczącego opinii francusko-polskiej, tak jak Kuczyński przewodniczył anti francusko-prusko-polskiemu stronnictwu. Przy pierwszym obsadzeniu urzędów i biur zdarzyło się, iż na liście królowi podanych kandydatów, minister odmienił porządek i stopień jednego z nich. Szpiegujący malkontenci podchwycili ten krok ministra i głośnemi wyrzutami napelnili miasto, naturalnie, że w tych skargach najgłośniej przemawiał Kuczyński, a że pierwszy sejm nadchodził chcąc zainteresować posłów do podniesienia

głosu przeciw nadużyciom ministra, napisał list obszerny do Szepietowskiego przyjaciela swego, w którym przekonywając go o potrzebie upraszania króla, aby przepisał ministrom granicę ich postępowania, na poparcie wniosku swego wymienił ministra sprawiedliwości Łubieńskiego i wypadek powyżej wspomniany zaskarżył jako nadużycie władzy. Kopię tego listu przyniósł do marszałka Małachowskiego z zapytaniem czy go znajduje słusznym i czy może go drukiem ogłosić. Małachowski podówczas prezes senatu odpowiedział mu: „Wydrukuj, ja cię do tego upoważniam”. Jakoż Kuczyński list swój wydrukował i gdy się sejm zgromadził list ten rozbiegł się po rękach posłów i publiczności i dał powód do skarg i napaści Godlewskiemu posłowi marianpolskiemu zaraz na pierwszym sejmie grającemu rolę trybuna *plebis*. Łubieński, acz do żywego obrażony listem Kuczyńskiego tem dotkliwiej, że drukowanym, przecież jako Polak szanujący wolny głos z domowych praw polskich przez komisję rządzącą ziomkom powrócony, możeby był strawił w sobie urazę i urzędowej zemsty jako minister nie poszukiwał, lecz konsyliarze jego prusacy oburzeni wyrzutami głośno czynionymi, z takiej strony i w postaci tak niebezpiecznej i ubliżającej powadze ministra wystawili ten czyn Kuczyńskiego, tak konieczność systematu *principiis obsta* wywiedli, tak rozdmuchali w Łubieńskim oburzenie, iż ten mniemając, że dopełnia obowiązku swego urzędu, udał się ze skargą do króla i wyjednał polecenie powołania przed sąd kryminalny autora listu i drukarza. Zaledwie pro-

kurator kryminalny Niemojewski podniósł głos i postanowienie królewskie na jaw wyszło, cała publiczność zawrzała gniewem przeciw Łubińskiemu, umiał go rozżarzać i coraz żywsze za sobą interesowanie się budzić Kuczyński, ukazując się na ulicy w postaci przygnębionego i spotykającym go mówiąc: „Nie lękasz że się rozmawiać z kryminalistą?“ co tem więcej koło niego gromadziło ludzi. Wezwany przed sąd kryminalny nie zaprzeczył się autorem listu, naglony aby drukarza wydał, odpowiedział „tego nie uczynię, lecz karę za niego na siebie przyjmuję“. Gdy po trzykrotnych indagacjach to samo powtarzał wezwano go ostatecznie, a że stał się nim się sąd zgromadził, zlecono mu zacząć w ubocznej izbie prymasowskiego pałacu, w którym odbywał sąd kryminalny warszawski swoje posiedzenia. Istotnie nie była to izba, lecz raczej sklep, w którym dawniej mieściła się pałacowa spiżarnia, lub skład na rzeczy. Sklepienia opatrzone były długimi ankrami żelaznymi i rozmaitemi hakami i wieszadłami, Kuczyński, wszedłszy tam, mniemał się być w więzieniu, zwłaszcza gdy się dowiedział, że kryminaliści zbrojcy, złodzieje w tem miejscu zwykli oczekiwać swego wyroku; wyszedłszy więc z tego sklepu, zaraz po domach i ulicach przez siebie i przez usta przyjaciół rozniósł skargi i żale na obelgę sobie wyrządzoną, co sprawiło powszechne oburzenie w publiczności. Sąd kryminalny, nie mogąc od niego otrzymać wymienienia drukarza, zapytał ministra sprawiedliwości co w takim zdarzeniu przedsięwziąć. Tu minister zbyt powolny radom swoich konsyliarzów, reskryptem do sądu wydanym

poleciał zagrozić mu artykułami prawa kryminalnego pruskiego. Traf, czy też nieuwaga woźnego sprawiła, że z rezolucją sądu w ten sposób zredagowaną nie zastawczy Kuczyńskiego w domu a dowiedziawszy się, że jest w blizkim kościele na mszy, udał się za nim i zbliżywszy się do siedzącego między ludem i modlącego się w ławce wręczył mu w obecności wszystkich wezwanie, które zaraz ciekawość i szemranie obudziło. Kuczyński, przyjmując je, wyszedł z kościoła a wychodzącego lud zaraz otoczył i badał, on je okazał, a wróciwszy do domu, zajrzał zaraz do prawa pruskiego, dla przekonania się jakim to artykułem zagrożony został. Artykuł ten prawa kryminalnego brzmiał jak następuje: „Gdy złodziej albo rozbójnik mimo pewnych poszlak upornie się zapiera popełnionej zbrodni, lub nie chce wydać współników, sąd może przystąpić do przymuszających środków i wyliczyć mu tyle razy, ile budowa jego ciała znieść może, aż do liczby N. N. zawsze jednak ze ścisłą bacznością na jego zdrowie“. Gdy Kuczyński artykuł ten przeczytał wpadł w oburzenie, którego stopień ci tylko wystawić sobie mogą, co znali jego żywy i drażliwy charakter, tem więcej rozdrażniony im szlachetniejszy. Za odgłosem tego nieuwważnego kroku, który więcej doradcom ministra jak jemu samemu przypisać należy, cała stolica, wszystkie korporacje rządowe równie administracyjne jak sądowe, inni nawet ministrowie wzięli udział w słusznym oburzeniu i krzywdzie Kuczyńskiego. Józef Kalsanty Szaniawski prokurator generalny księstwa, w imieniu zagrożonego osobistego bezpieczeństwa,

wniósł publiczną skargę do Rady stanu na nadużycie władzy przez ministra, wzywając ją, ażeby przełożyła potrzebę ukrócenia tej władzy równie zagrażającej niepodległości sądownictwa, jak osobistemu bezpieczeństwu obywateli. Rada stanu przełożenie do króla uczyniła, lecz król surowo przyganił prokuratorowi śmiały i jakby nieprawny krok jego, czem zrażony Szaniawski złożył urząd prokuratora, oddalił się od publicznego życia, i przyjął prywatne obowiązki u ordynata Zamoyskiego. Sąd więc kryminalny przystąpił do wysłuchania wniosków prokuratora i obrony. Trzech najlepszych adwokatów stanęło w obronie Kuczyńskiego. Grocholski dawny polski mecenas trybunału lubelskiego, później emigrant, literat, wierszopis i mówca, gorliwy przyjaciel Kuczyńskiego. Dwaj pierwsi bronili jedynie z punktu prawnego, lecz Orchowski pozwalwszy wymowie i imaginacyi lotu, wyprowadził sprawę na drogę polityczną, popularną i jak Cyce-ro przeciw Werresowi użył wszystkich środków do zajęcia słuchaczy i sądu, tak, że prawie po ścianach izby odbijały się te słowa: *Civis Romanus sum*. Natłok ludu i wrażenie wywołane zmieszało sąd; zwłaszcza, że gdy Kuczyński wychodził na ustęp, pospólstwo tłokiem na dziedzińcu pałaca prymasowskiego zgromadzone wołało „*krzesła Kuczyńskiemu*“ i posadzonego na krzesła otoczyło. Sąd więc, rozważywszy sprawę, nie wydał wyroku, lecz zdecydował podać do króla na ręce ministra wniosek o abolicję sprawy i zawiesił wyrokowanie. Pospólstwo więc rozeszło się spokojnie, odprowadzwszy Kuczyńskiego do jego mieszkania. Lecz po

upływie pewnego czasu król za radą ministra nie przyjął wniosku sądu i minister wezwał sąd do wyrokowania. Sąd więc wydał wyrok, skazujący Kuczyńskiego na dwa miesiące aresztu. Nowy ztąd hałas przeciw ministrowi i sądowi w publiczności, a ze strony Kuczyńskiego apelacya do sądu kasacyjnego, który już od roku w Radzie stanu po wprowadzeniu kodeksu francuskiego istniał i już obowiązki swoje spełniał. Kuczyński zaraz wywód swojej sprawy zaczął od wyłączenia prokuratora Woźnickiego, jako wprzód członka ministeryum sprawiedliwości i trzech referendarzy. Morawskiego jako zięcia ministra, Wyczechowskiego i Stawickiego. Trzech więc zostało referendarzów do użycia, Wojda, Lewicki i ja. Na Wojdę jako najstarszego z referendarzy padło zastępstwo prokuratora, Lewicki z nauki prawa był zdolniejszym odemnie do przedstawienia sprawy, myślałem więc, że mnie minie ten kielich goryczy, zwłaszcza, że już sprawowałem podwójne obowiązki referendarza Rady stanu i sekretarza konfederacyi, gdyż już to były chwile posejmowe 1312 roku. Zdziwiłem się i przeląknłem gdy mi przyniesiono niezmierne akta i foliały, w części niemieckie, w części polskie i na nich imię moje, jako wyznaczonego przez prezesa Rady stanu i sądu kasacyjnego referenta. Przejrzawszy je, napisałem przełożenie do prezesa, prosząc o uwolnienie mnie i z powodu, że nie jestem biegłym w prawach tem mniej pruskich, że nie rozumiem języka niemieckiego i że obowiązki sekretarza rady konfederackiej stawiają mnie w niepodobieństwie podjęcia się tak ciężkiej pracy. Wkrótce przyszedł do

mnie sędzia apelacyjny, kolega mój w radzie konfederacyi i przyjaciel Franciszek Wężyk i silnemi prośbami i naleganiem wystawiał mi, że jest obowiązkiem patryotyzmu nie wymawiać się od tego rodzaju posługi, uprzedził mnie, że sam osobiście Kuczyński o to prosić mnie będzie i że w żadnym z pozostałych referendarzów, prócz mnie, zaufania nie ma, mnie zaś z zupełną ufnością powierza swój pokrzywdzony honor. Odbierałem te same wstawienia się od wielu przyjaciół Kuczyńskiego, lecz już odesłałem był akta. Kilka dni potem, będąc na posiedzeniu rady stanu i po ukończonej sesyi wychodząc, zeszedłem się z prezesem rady stanu i sądu kasacyjnego, Stanisławem Potockim, ten zaprosił mnie do swojej karety i oświadczył, że mnie do mojego mieszkania odwiezie, w karecie odezwał się do mnie: „Ja pana nie mogę uwolnić od referatu sprawy Kuczyńskiego, jako prezes wymagam, abyś się nie wymawiał, a jako Potocki proszę. To nie jest sprawa samego Kuczyńskiego, ale nas wszystkich. Wszyscy obelżonymi zostaliśmy w naszej obywatelskiej godności i w bezpieczeństwie naszych osób. Prócz tego tę sprawę raz ukończyć trzeba. Ona sprawia fermentacyę w umysłach, odwraca ducha mieszkańców od sprawy polskiej, która dziś się toczy, a która całą uwagę skupiać powinna“. „Ale — rzekłem — ja nie jestem prawnikiem a tem mniej z ustaw pruskich, referendarz Lewicki lepiej wywiąże się z tego zadania, przytem, będąc członkiem rady konfederacyjnej, ani czasu ani sił nie znajdzie“. „Ja pana na miłość dobra publicznego i na miłość ojczyzny zaklinam, z przekonania, że z referenda-

rzów stanu najzdolniejszym jesteś wystawić tę sprawę tak, jak wystawiona być winna. Ci Prusacy, Austriacy nie mają wyobrażenia, co to jest uczucie honoru w każdym Polaku, to są tylko w prawie rzemieślnicy“. Gdy mnie wysadził do mego mieszkania zastałem już zwrócone mi akta, a w kilka godzin powtórzył swoje odwiedziny Franciszek Wężyk i zawołał: „A cóż się to wymawiasz od referatu sprawy Kuczyńskiego, jesteś dobrym Polakiem, obruszasz się na nadużycia i prześladowania słusznego obywatela, szacujesz Kuczyńskiego, on ma jedynie w tobie utność i ty jedyną sposobność tak pożądaną dla dobrej sławy twojej i tę odpychasz, nie czyni tego, obruszysz na siebie opinię, okażesz się lęklwym i stronniczym“. Okazałem mu akta i rzekłem: „Oto ten kielich goryczy, który mam wypić, bo wiem, że ani Kuczyńskiemu, ani publiczności nie dogodzę“. Kuczyńskiego ufności odpowiesz—odrzekł, uściskawszy mnie—pozwól mu podziękować sobie za przyjęcie sprawy, on się wkrótce u ciebie stawi“. Jakoż nazajutrz przyszedł do mnie Kuczyński z wszelką delikatnością i pochlebiami dla mnie wyrazami oświadczył mi, że jego honor złożony jest w moim ręku i prosił mnie, aby mógł mnie jeszcze odwiedzić dla złożenia na piśmie objaśnień do jego sprawy niezbędnie potrzebnych i ważnych. Nie przewidywałem, że te objaśnienia obejmowały nowe i obszerne foliały pism samego Kuczyńskiego z nieodstępną pretensją, aby w referacie wraz z obronami prawników umieszczone były. W jakim się więc znalazłem kłopotcie, gdy wszyscy obrońcy wyjawili mi to samo życzenie, a nawet wymaganie a szczególnie

Aloizy Orechowski mój dawny kolega w Lublinie i przyjaciel, który, chcąc przed publiczność wyprowadzić na widok całą patetyczność swojej wymowy, żądał, aby jego obrony nie skrócić, gdyż od kierunku, jaki nadał tej sprawie zależy miało podług jego mniemania uzyskanie sprawiedliwości od sądu kasacyjnego. Już byłem treść sprawy napisał i umieścił na trzech arkuszach, lecz, dręcząc się myślami, jakby choć w części dogodzić miłości własnej i próżności proszących, udałem się po radę do mego najzaufańszego przyjaciela i mistrza, Tadeusza Matusewicza, ministra skarbu i użaliłem się na mój kłopot. On rzekł do mnie: „Zrób ofiarę z miłości własnej dla ich próżności. Ja znam dobrze Kuczyńskiego charakter drażliwy, urażliwy i nieprzebaczący, choćbyś najdokładniej rzecz wystawił, choć słowo opuścisz z jego obron, choćby wygrał sprawę nie będzie kontent, bo tu idzie jemu i obrońcom równie o wygraną, jak o zaparadowanie i popis ich elokwencyi przed publicznością, pisz więc jak żądasz, a unikniesz nieprzyjemności. Jeżeli referat będzie długi i nudny, publiczność zgadnie przyczynę, bo przecież dałeś się jej poznać po tyłu referatach“. Posłuchałem mego doradcy, z trzech-arkuszowego zrobił się trzydziesto-arkuszowy referat nudny i ekliwy, tak, że na posiedzeniu publicznem usnął p. Stanisława Potockiego. Czytanie jego trwało cztery godziny, piersi mi nie wystarczyły. Ludwik Osiński pisarz sądu kasacyjnego swoim brzmącym głosem odczytał go i podniósł. Wojda zastępujący prokuratora krótkimi wnioskami za skasowaniem wyroku poparł go. Na ustępie jednogłośnie zdania

odezwały się za uchyleniem dekretu, gdy się narażano do jakiego sądu odesłać sprawę według prawideł sądowi kasacyjnemu przepisanych, prezes Potocki uczynił wymowny wniosek za środkiem, któryby nie tylko sprawie tak szkodliwy na ducha publicznego wywierającej wpływ koniec położył, ale Kuczyńskiego od dalszego prześladowania zasłonił, „lękam się—rzekł—aby Kuczyński, wygrawszy sprawę *de lege, de facto* jej nie przegrał. Widzieliśmy jak reskrypta ministra sprawiedliwości kierowały zdaniem sędziów, gdy odesłemy sprawę choćby do sądu złożonego z najsprawiedliwszych członków, czyli minister nie zdoła wpłynąć na przekonanie sędziów lub zmienienie *personale*, a wtedy Kuczyński, skazany na dwa miesiące aresztu, może surowszej uleść karze, a tak ani cel ukończenia tej sprawy, ani oddania sprawiedliwości pokrzywdzonemu dopięty nie będzie“. Odezwały się zdania, aby, wystawiwszy królowi rzecz, całą prosić go jak to sąd kryminalny zrobił o abolicję. Innym członkom nie zdawało się, aby to ubliżało niepodległości sądu kasacyjnego, lub aby go miało narażać na urażę króla, wtedy minister policyi, Sobolewski, zawsze zimny i rozważny w zdaniu i który z wielką uwagą sprawy słuchał, rzekł: „że nie jest pewniejszego nad to, że w oddaniu Kuczyńskiego pod sąd dobra wiara króla podchwyciona została, że on nie cofnie swego postanowienia jak to już dał wiedzieć sądowi kasacyjnemu, nie chcąc winy składać na ministra, lecz to pewna, że pragnie, aby się ta sprawa skończyła i nie gniewałby się na wyrok, któryby Kuczyńskiego niewinnym uznał, bo ten pan spra-

wiedliwy umie szanować niepodległość sądownictwa, uważałem i z referatu referendarza i z wniosków zastępcy prokuratora, iż między powodami do skasowania wyroku ten jest najglówniejszym, iż do sprawy o obrażenie pismem ministra nastąpione pod prawami polskimi, których moc w całej rozciągłości komisya rządząca krajowi wróciła, zastosowano kodeks kryminalny pruski, który moc swoją utracił. Prawa i konstytucye polskie zabezpieczały każdemu obywatelowi *liberam vocem*. Ogłaszając *pro hoste patriae* każdego, ktoby ją chciał tamować, Kuczyński wsparty na tych prawach obraził ministra, mogła być o to sprawa Łubieńskiego z Kuczyńskim, lecz nigdy ministra z urzędu z obywatelem. Mojem zdaniem, w tak nadzwyczajnym wypadku, to, co każdy sąd bezstronny powinienby zrobić, lecz czy zrobi? sąd kasacyjny niech wyrzecze, nikomu odpowiedzialnym za swój wyrok nie będąc, to jest niech skasuje wyrok i do żadnego nie odeśle go sądu". Wszyscy więc zgodzili się na to, nawet prokurator. Gdy upowodowany wyrok pisarz Osiński przeczytał wobec zgromadzonej natłokiem i napelniającej wszystkie sale pałacu Krasińskich publiczności, Kuczyński z uszanowaniem ukłonił się, a publiczność po kilkakroć zabrzmiała głosem: Wiwat sąd kasacyjny! i w tryumfie odprowadziła Kuczyńskiego do jego mieszkania. Nie tu jeszcze koniec mego strapienia. Na pierwszym posiedzeniu kilku członków rady stanu uczyniło wniosek, aby zebrawszy wszystkie reskrypta ministra w sprawie Kuczyńskiego do sądów wydane, przełożył królowi konieczność zakreślenia granic wła-

dzy ministeryalnej i wystawić całą szkodliwość wpływów na niepodległość sądownictwa, z braku tego zakresu atrybucyi pochodzących. Poparł ten wniosek Stanisław Potocki prezes i otóż znowu polecenie dane mi do zredagowania takowego oskarżenia. Przytomni już byli na tem posiedzeniu wyłączeni referendarze. Morawski, zięć ministra, za żywo uczuł się dotkniętym zarzutami reskryptom ministra czynionym i zaczął bronić teścia. Dano mu uczuć, iż życzo no sobie, aby na posiedzeniu, na którym toczyła się sprawa jego teścia, nie znajdował się. Zrozumiał on te względy przyzwoitości i delikatności i wyszedł z sali, lecz nie bez żalu i niejakiej urazy. Próżno się wypraszałem i wymawiałem *abeat a me calix iste* zmuszony, zredagowałem przełożenie z całą należną względnością dla osoby ministra, wykazując mimowolny, ale nieunikniony wpływ ministrów, tam, gdzie zakresu władzy nie było, a złe ztąd wynikające raczej sędziom, nie pojmującym swojej niepodległości, jak ich zwierzchniemu dozorowi przyznałem. Rada stanu zaostrzyła niektóre wyrażenia i przełożenie do króla przesłanem zostało. Myślałem, że się na zawsze ministrowi naraziłem, który mnie zawsze do domu swego przyciągał z uprzejmością, lecz oddać mu muszę sprawiedliwość, że okazał względem mnie wiele szlachetności duszy. Gdy się z nim sam na sam znalazłem, zbliżył się do mnie i rzekł: „Chcę mnie zmusić do złożenia urzędu, bo nie wiem za co mnie nienawidzą, jestem prócz tego słaby i praca mnie nęka. Miłość dobra publicznego i sumienie krzepi mnie w tych przykrościach, których doznałem. Uprzedzono się,

że chciałem dokuczyć Kuczyńskiemu. Krewnym jego jestem, skłonniejszym byłem zawsze do przychylności ku niemu, niż do zemsty. Mogę mieć żal do rady stanu, do pana żadnego nie mam, owszem szacuję cię, jak szacowałem. Zrobiłeś swoją powinność i pragnę zjednać sobie jego przyjaźń i lepszą od członków rady opinię“. Jakoż zawsze wzywał mnie do swego domu, na obiady zapraszał, z życzliwością przyjmował, równie w Warszawie jak później w emigracyi w Krakowie. Z referendarzem Morawskim wzajemnie wyrozumieliśmy sobie nasze sprzeczne położenia, jak wprzód tak i późniejszanując się coraz ściślejszą zawiązaliśmy przyjaźń, dotąd trwa niezachwiana, owszem wzmocniona przez brata jego Franciszka generała ze mną nierozzerwanym węzłem i braterstwem dusz naszych spojonego i ta przyjaźń do grobu naszego dotrwa. Nie wiedziałem, że z przyczyny tryumfu Kuczyńskiego, nowa mnie praca czeka. Ambasador francuski arcybiskup mechliński, ksiądz Pradt, zażądał odemnie opisanie szczegółów sprawy Kuczyńskiego od jej początku do końca, a razem powodów wyroków sądu kasacyjnego, dotąd mi nie wiadomo z jakich powodów. Bądź minister Łubieński przed nim się uzałił, bądź miał zlecenie od Napoleona, bądź chciał się przed nim okazać wszystkim co się w kraju polskim dzieje. Musiałem więc wygotować to opisanie, które na język francuski przetłómaczone przez jednego z audytorów jego przesłałem.

Czytając to opowiadanie, wszyscy rozumieć mogą i wnosić, że Kuczyński po ukończeniu z takim tryumfem, tak dotkliwej dla siebie sprawy, zo-

stał najszcześliwszym człowiekiem. Jakże się omyła, przeciwnie bowiem stał się najnieszcześliwszą istotą. Skoro przygasła ta aureola popularności, która go otaczała, którą żył, skoro przestało być nazwisko jego w ustach wszystkich, uciechły pochwały, politowania, ustało jedyne zatrudnienie się samym sobą, do którego nawykł, zesmutniał, tęsknié zaczął i nudzić się sam sobą. Próżno wskrzeszał rozmowy o swojej sprawie, próżno się na ulicy okazywał, już się nie litowano nad nim, lecz mu winszowano, to go gniewało i odpowiadał: „Sprawa honoru jeszcze się nie skończyła, teraz dopiero ją poprze Kuczyński przeciw Łubieńskiemu, za owe zagrożenie razami”. Lecz już współczucia i rozgłosu nie znalazł prócz w juńce warszawskiej. Juńtą nazywano podówczas pewne towarzystwo, po większej części ze słusznych ludzi złożone, lecz przybierające do siebie wszystkich, pod nazwiskiem patriotów swoją nicość ukrywających, a więc próżniaków brukowych, nowiniarzy, polityków miejskich, literatów, wysłużonych wojskowych, aktorów a zwłaszcza malkontentów. Przewodniczył tej juńcie obiadami i rozmowami Bromirski starosta płocki, człowiek bogaty, lecz ograniczony. Zasiadali w niej Kopeczyński, Bohusz, ksiądz Byczkowski, Orsetti, wszyscy słuszni ludzie, a czepiała się do nich różnorodna czereda. Powszechnie zbierała się ona wieczorem na ławkach ogrodu Krasińskich, który podówczas więcej był uczęszczany, niż Saski. Mnóstwo ciekawych otaczało ją, aby usłyszeć sądy i rozbiory polityki europejskiej, zbierać wieści i rozgłaszać, inni zbliżali się do niej, aby ją wiadomo-

15

ściami fałszywemi zwodzić i potem śmiać się i szydzić. Kuczyński tam się czasem ukazywał, lecz słabe lekarstwo znajdował na swoją tęsknotę i nudę. Za Królestwa Polskiego zaczął sprawę z ministrem skarbu Matusiewiczem o majątek, który temu ministrowi równie jego jak Dominika Kuczyńskiego krewna pani Szczytowa zapisała. Tą sprawą koił swoją nudę, miał prócz tego do Matusewicza urazę, że na posiedzeniu sądu kassacyjnego gdy w sprawie z Łubieńskim wyrokowano, nie był obecnym, lubo jako krewny obecnym być nie był powinien. Lecz rodzaj sprawy nie wzbudzał już tego interesu z Kuczyńskim, przeciwnie wybrany przez niego przeciwnik, jako nieprześladujący, lecz prześladowany i powszechnie ceniony, przeważał go w popularności. Kuczyński przegrał więc sprawę, do nudy przyszło upokorzenie miłości własnej. Tęsknić i gryźć się zaczął, nakoniec wpadł w chorobę, która podobno dziedziczną była w jego rodzie, i umarł na czerak na piersiach z gangreny, rozpisawszy znaczny majątek między krewnych, umarł żalowany powszechnie. Kuczyński wystawił sobą nowy dowód, jak jest niezglębioną przepaścią serce ludzkie. Mając wszystkie przymioty słusznego i oświeconego człowieka, stał się ofiarą ukrytej w głębi duszy swojej próżności i tej jakiejś żyłki pieśniactwa, wyczerpanej z dawnych czasów i poruszającej w nim tę próżność, której się w sobie nie domyślał. Ztąd, kiedy go mniemano nieszczęśliwym, on był najszczęśliwszym, bo popularnością syciła się jego próżność. Gdy go mniemano najszczęśliwszym, został nieszczęśliwym, strawił się sam sobą i życie skończył.

Wspomnienia z konfederacji generalnej Królestwa Polskiego.

Epoka konfederacji generalnej Królestwa we wszystkich szczegółach celu i postępu jest obszernie opisana w gazetach ówczesnych, w dziennikach tejże konfederacji, których zbiór nie w jednym domu zachowany został; ani więc wiadomych wypadków, ani tych wielkich uroczystości, przez osiem miesięcy trwających, opisywać nie będę. Wspomnę tylko niektóre mało znane lub wcale nieznanne wydarzenia, które jako powiernik lub naoczny ich świadek w pamięci zachowałem.

Pierwszym krokiem Rady konfederacji było wysłanie dwóch deputacyi, jednej na której czele był wojewoda Józef Wybicki do Napoleona z prośbą o protekcję dla powstającej Polski, drugiej do króla saskiego, której przewodniczył książę Stanisław Jabłonowski, a należał do niej mój brat książdz Józef Koźmian, z żądaniem potwierdzenia konfederacyi i przystąpienia do niej. Oba te akty pisał

Matusiewicz, minister skarbu. Mylnie ksiądz Pradt, ambasador francuski, twierdził w swoim dziele, iż Matusiewicza adres do cesarza był długi i ekliwy, i że on zmuszony był inaczej go zredegować. Byłem obecny na sesyi rządu, gdy te oba adresy w przytomności księdza Pradta czytane i rozbierane były. Ksiądz Pradt zupełnie zgodził się na adres do cesarza, podał tylko do umieszczenia kilka swoich myśli, dobitniej domagających się ogłoszenia Królestwa Polskiego, co Matusiewicz zrobił, skróciwszy nieco pismo. Mimo tych frazesów ambasadora, a może też i dla nich, odezwa ta nie podobąca się Napoleonowi; gdy ją przeczytał Maret i okazał ją cesarzowi, ten znalazł ją niepolityczną, rozkazał się Wybickiemu i podyktował mu to, co ma do niego powiedzieć na audyencyi, oryginalną zaś odezwę z podpisami członków kazał Maretowi złożyć w kancelaryi i zachować. Na głos Wybickiego wiadomo co Napoleon odpowiedział. Widać, że albo miał inne plany, albo jeszcze żadnych, albo też o mocy stworzenia królestwa wątpił. Powrót przeto delegatów zasmucił konfederatów.

Co do adresu do króla saskiego już był zrobił ksiądz Pradt do Matusiewicza insynucją, aby unikać wszystkich wyrażen, uprzedzających skryte cesarza względem przyszłego królestwa zamysły, względem przeznaczenia korony polskiej, komuby się miała dostać, dlatego pisano tylko do króla jak do Księcia Warszawskiego z prośbą o potwierdzenie związku konfederacyi. Tak tu i król saski i naród polski byli tylko igrzyskiem woli Napoleona.

Warszawa wtedy wyludniła się z całej swojej

młodzieży, nawet wiele domów się zamknęło. Wojsko wyszło, otwarły się tylko domy ambasadora Pradta, księstwa generalstwa Czartoryskich, jako marszałka konfederacyi, Stanisława Potockiego, prezesa Rady ministrów, państwa Zamoyskich, jako wice-prezesa Rady konfederacyi. Dom kasztelanowej połanieckiej zawsze otwarty jednostajnie przyjmował, mniejszych zgromadzeń jak u wojewodów: Ostrowskiego, Sobolewskiego, Małachowskiego, u ministrów Łubieńskiego, Matusiewicza nie brakowało. Ukazał się też w Warszawie Hieronim Bonaparte, król westfalski, z postaci i twarzy niezmiernie podobny do Napoleona, bawił on dni kilkanaście wcale nie po królewsku, bo na koszcie miasta, kąpał się, jak mówiono, codzień w mleku i w winie. Przejżdżał się na arabskim koniu wśród swoich adjutantów i szambelanów, w mundurze zielonym z ponsowemi obszlegami i w kapeluszu stosowanym, do Napoleońskiego podobnym; dawał przed południem posłuchanie władzom, ministrom i t. d., i nawet kobietom, które go poznać chciały, lecz te audyencye były osobiwsze. Kobiety zgromadzone czekały w salonie, i szambelan od służby, po kolei wpuszczał jedną do gabinetu jego, w którym młody król sam na sam zapytania czynił. Pamiętam, że pani Aleksandrowa Chodkiewiczowa z całą żywością swego umysłu oburzała się na te ubliżające i nieprzyzwoite posłuchania, zwłaszcza, że król Jegomość do obecnej damy mówił jakby o trzeciej osobie. Nakoniec, gdy już wojsko zbliżyło się do Niemna, na co on oczekiwał, wyjechał z generałem Marchand dla objęcia przeznaczonej mu komendy. Ge-

nerał Dutailis, bez ręki, objął dowództwo nad miastem, nad batalionami rezerwowymi i gwardyą narodową. Spóźnienie się króla westfalskiego do obozu i powolny ruch kolumn rozgniewał Napoleona. Król Jegomość westfalski, chcąc się wymówić przed bratem, zwałił winę na księcia Józefa. Książę najniesłuszniej musiał wytrzymać gniew i uniesienia cesarza w nieprzyzwoitych wyrazach przeciw niemu wybuchłe; lecz wkrótce wykryła się prawda. Napoleon wrócił księciu swój szacunek, a niedołężnemu bratu odjął komendę i do kraju odesłał.

Skoro Napoleon ustanowił rząd w Litwie, spostrzegłszy, że wielu Polaków ze znakomitych rodzin litewskich, jedni sami oddalili się za cesarzem Aleksandrem, drudzy zmuszeni zostali przenieść się w głąb kraju rosyjskiego, nadto, zastawszy stolicę Litwy wyludnioną, szczególnie z młodzieży, która od kilkunastu lat napełniała szeregi wojska rosyjskiego, a usłyszawszy między nazwiskami dowódców wiele nazwisk polskich, rozkazał wezwać rząd litewski o wydanie proklamacyi z zachętą i groźbą, aby wszyscy Polacy, nie słuchając wymuszonej przysięgi, przybywali połączyć się pod chorągwie powstającej Polski. Takie samo wezwanie uczynił do Rady konfederacyi generalnej ambasador Pradt, i razem tło myśli do niej powierzył panu Zamoy-skiemu wice-prezesowi, aby ją wniósł na Radę konfederacyi. W Litwie redakcyja tego rodzaju proklamacyi padła na członka rządu, księcia Aleksandra Sapiechę, znanego dobrze Napoleonowi z patryotycznego zapału i z literackich talentów. Nie utrafił atoli książę Aleksander w myśli Napoleona i on

sam podyktował krótką, jędrną i groźną proklamacją. Pan Zamoyski, naradziwszy się z Matusiewiczem, mnie jako sekretarzowi oddał pismo księcia Pradta, i polecił na tem tle wygotować odezwę do narodu i przynieść na posiedzenie. Wygotowałem więc i przyniosłem, lecz książę marszałek konfederacyi, skoro ją przeczytał, ździwił się, i oburzył i podpisu jej odmówił, znalazł on bowiem zachęcenie do porzucenia służby wojskowej, acz w szeregach nieprzyjaciela, lecz dobrowolnie przyjętej i zaprzysiężonej przeciwne honorowi wojskowemu, niemoralne, a nawet niepolityczne. „Chcemy się wzmocnić dezertkami, wiarołomcami, bodajbyśmy się nie osłabili, zdrajcami lub szpiegami. Zostawmy każdemu wolność, niech rozporządza swoją osobą według wyobrażeń własnych, jakie ma o miłości ojczyzny i honoru. Kto prawdziwie kocha ojczyznę, znajdzie środek, nie ubliżający honorowi, i żaden dobry Polak nie będzie przelewał krwi współziomków, ani też cesarz Aleksander nie jest zdolnym wymagać tego po Polakach”. Tak mówił książę Czartoryski, a gdy członkowie oświadczyli konieczność dogodzenia woli Napoleona, książę, odmówiwszy podpisu i wezwawszy z nieukontentowaniem wice-prezesa, wyszedł z izby. Zatrzymano więc wydanie proklamacyi. Matusiewicz się tem zasmucił, równie dla kraju jak dla osoby księcia, za którego poświęcenie ręczył Napoleonowi; udał się więc do księcia z przelożeniami i nazajutrz powtórnie przeczytana proklamacya, z małemi odmianami, podpisaną przez księcia została. Zwyklem był co tydzień przesyłać dziennik konfederacyi ge-

neralnej do Drezna, w jednym egzemplarzu dla króla, w drugim dla ministra francuskiego Serry, w trzecim dla ministra saskiego spraw zagranicznych hrabiego Senft-Pilsach. Na jeden dzień prawie zbiegły się do Drezna obie proklamacye, tak wileńska jak warszawska. Moja zjednała mi list nader pochlebny od p. Serry, ministra francuskiego, w którym, winszując, że utrafiłem w myśli Napoleona, nie szczędził mi przyjaznych wyrazów; ten list chowam w zbiorze moich korespondencyi jako drogą pamiątkę rzadkiego męża, głęboko uczonego literata i przywiązanego duszą i sercem do narodu polskiego i do jego sprawy. Od armii polskiej ciągle przybywali kuryerami oficerowie, przynoszący najpomysłniejsze wiadomości. Napoleon zbliżył się do Smoleńska i rozłożył się pod nim. Radość atoli pomieszana została zbliżeniem się czterdziesto-tysięcznego korpusu, admirała naczelnie dowodzącego tą armią Tchichakowa do Brześcia. Armia ta po pokoju z Turcyą wracała na walkę z Napoleonem, uprzedziła ona wejście trzydziesto-tysięcznego korpusu austriackiego na Wołyń. Książę Schwarzenberg, naczelnie nim komenderujący, ze zwykłą Austryakom powolnością czy niechęcią, zwłóczył je i ledwie częstemi od Napoleona kuryerami zagniony wszedł na Wołyń, spotkał się z armią Tchichakowa, stoczył bitwę, w której Howart, pułkownik węgierski zginął. Tchichakow się cofnął i tem spotkaniem i zwycięstwami Napoleona zmuszony dążyć za wielką armią, aby nie być odciętym. Lecz wejście wojsk austriackich na Wołyń, nietylko nie wsparło sprawy polskiej, lecz ostudziło zapał. Nie-

chętnie ksiązę Schwartzenberg rozgłaszał i rozsyłał proklamacye konfederacyi, niezręcznie zachęcał. Austryacy do wsparcia liberalnego i narodowego zapalał najmniej zdolnymi byli. Nie pojmuję, jakie były widoki Napoleona, dlaczego nie przeznaczył księcia Józefa Poniatowskiego z Polakami na ten ważny punkt, inaczej byłyby rzeczy poszły. Nie wiadomo mi, czy Austryacy wymówili sobie oddzielne działanie, unikając poddania się pod komendę cesarza, któryby ich może nie oszczędzał, czy też Napoleon, nie ufając duchowi Austryaków, nie chciał sobie oporem ich i powolnością utrudniać swoich żywych pochodów, czyli też nakoniec dla doświadczonej waleczności i przywiązania Polaków, równie jak dla języka wołał ich mieć pomięszanymi ze swoimi hufcami, aby byli przykładem innym mniej jego ufność posiadającym sprzymierzeńcom i na wodzy ich trzymali; jakoż rozczłonkował armię polską z 90,000 żołnierzy składającą się między korpusy swoich marszałków, tak że ksiązę Józef pod pośrednią swoją komendą ledwie 30,000 wojska polskiego pod Smoleńskiem mógł liczyć.

Gdy więc ciągle kuryery przywozili wiadomości o zwycięztwach i postępach wojska, radość, uniesienia, fety, ciągnęły się to w domu ambasadora, to po domach możniejszych, to w zamku królewskim, gdzie w imieniu króla, jako komisarz dworu, przyjmował i zarządzał festynami Aleksander Batowski, za Królestwa Polskiego wielki łowczy dworu polskiego. Rada konfederacyi odbierała ciągle adresa od przystępujących do niej, nietylko z całej przestrzeni ziemi polskiej obywateli, z tych

miejsce, które wojska zwyciężkie zajęły, lecz i za granicą mieszkających. Wojsko wraz z księciem Józefem przysłało przez deputacyą przystąpienie. Mostowski Tadeusz, za Królestwa Polskiego minister spraw wewnętrznych, mieszkający w Paryżu, z niepojętą lekkością nadesłał swój adres na świątku nakreślony w liście do ministra skarbu, Matusewicza. Cierpiał na tem Matusewicz, trzeba było to przystąpienie wklejać na papier, dać mu przyzwoitą formę, aby je w aktach umieścić i w dzienniku ogłosić. Przystępowali i przysyłali adresa i cudzoziemcy, a nawet wielu z książąt niemieckich z rodzin panujących, a niektórzy z nich prośby o indygenaty przyłączali. Wkrótce nadjechała deputacya od rządu litewskiego, mająca na czele sędziwego obywatela Jelskiego, Grabowskiego Kazimierza i innych. Z tej przyczyny w kościele Św. Jana obchód uroczysty połączenia się napowrót Litwy z Koroną, mowy w kościele, które pod osobą Linowskiego opisałem. Lecz zaledwie deputacya odjechała, przestרח ogarnął stolicę. Gdy Napoleon już Dniepr przeszedł, wojska austriackie ku Łuckowi się posunęły, nagle, niespodzianie zjawił się korpus partyzancki rosyjski generała Czerniszewa, i od Brześcia Siedlecom zagroził. Generał Dutailis, widząc odsłonioną Warszawę, przestרח ten chciał uspokoić wieścią o dążeniu korpusu generała Grenier do Warszawy, tymczasem uzbroił gwardyę narodową, pościęgał bataliony rezerwowe dla utworzenia korpusu, mogącego zasłonić Warszawę od nagłego napadu, lecz generał Grenier nie nadchodził, uzbrojenie szło trudno, bo nieszczęściem na

ten najważniejszy moment zastępca ministra wojny, generał Józef Wielhorski, gorliwy i energiczny urzędnik zapadł niebezpiecznie na pedogrę i bez pamięci kilkanaście dni w łóżku leżał. Jego sekretarze jakimi byli Jan Suchodolski i Niewiadomski, odbierali jego depesze i ekspedycje, tajemnica nie zawsze zachowaną była, ztąd często plotki rozbiegały się po mieście i obudzały nadzieje lub postrach. Przecież generał Wielhorski dźwignął się z słabości, zebrał cztero czy pięcioletni korpusik z batalionów i szwadronów rezerwowych, powierzył komendę jego dawnemu oficerowi za powstania Kościuszki okrytemu ranami na Pradze, walecznemu Krópińskiemu, wyjednał mu nominację na generała, a tak skoro się ten mały korpusik okazał, generał Czerniszew cofnął się, wprzód jednak tak nastraszył stolicę, że generał Dutailis kazał rogatki zamknąć, obsadził zbrojnym żołnierzem, nikogo nie wpuszczał ani wypuszczał, i już konie prywatnych osób zajął, jakby myślał wraz z ambasadą uchodzić z Warszawy. Nie tał tego zamiaru przed konfederacją i równie dla niej jak dla rządu pewną liczbę koni przeznaczył. Można sobie wystawić postrach i przerażenie Litwinów i Wołyniaków, bawiących w Warszawie, gdy im przez zabór koni sposobność ucieczki odjęto. W mojem mieszkaniu stał mój przyjaciel Jan Tarnowski, znany powszechnie z patriotyzmu, dwukrajowy obywatel Wołynia i Galicyi. Zabezpieczyłem go, że konie jego w mojej stajni nie podpadną rekwizycyi, tymczasem zesłani rano żandarmi zabrali je i już na wyprowadzonych tarantach w oczach zasmuczonego Tarnowskiego

skakać zaczęli. Musiałem udać się do generała Dutailis, który je powrócić kazał. Tarnowski, odzyskawszy konie i wyjednaawszy sobie paszport, odjechał śpiesznie do Galicji. Wkrótce wielka bitwa pod Borodino, którą jako zwycięstwo głoszą, i wejście do Moskwy napelnily radością stolicę i ducha upadłego pokrzepily. Wezwano mnie do napisania ody, sławiącej te nowe tryumfy. Osiński, Wężyk mieli więcej czasu, niż ja, lecz Wężyk już był napisał i wydrukował odę na zawiązanie konfederacyi i ogłoszenie Królestwa Polskiego, Osiński był zatrudniony fetami i obchodami na teatrze. Molski, tak skwapliwy do wierszy na każdą okoliczność, zamilkł, gdyż rządu francuskiego nie lubił. Niemcewicz napisał, lecz bez zapalu. Mnie więc naglono, trzeba było chwilę uchwycić, a myśli już przecuciami kołatane nie szły, udałem się więc do mego mistrza Horacyusza po pomoc. Oda jego do Augusta, opiewająca jego zwycięztwa po wzięciu Aleksandryi, tak się znalazła stosowną do okoliczności we wszystkich szczegółach, jakby dla Napoleona i w naszych czasach pisaną była, wytłumaczyłem ją więc na prędce i z tekstem łacińskim wydrukowałem, a tak Horacyusz mnie wyręczył w tem, czego równie dobrze zrobić nie byłem w stanie. W październiku nadeszła wiadomość o spalaniu Moskwy, pierwsza wieść rozniosła mniemanie, że ją Napoleon spalić kazał, druga wyprowadziła z błędu i wykryła prawdę, że ją sami Rosyanie a raczej jej gubernator Rostopchin spalili. Opisy były okropne i przerażające, lecz, że Napoleon ocalał i wyszedł z gorejącego Kremlina, pocieszono

się. Chcąc ducha podnieść i pokrzepić, siadłem do napisania ody na spalenie Moskwy, wiele osób zachęcało mnie do niej, w pośpiechu pisaną przeczytałem na posiedzeniu prywatnym członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w obecności p. Stanisława Potockiego, Staszica, Kopeczyńskiego. Po jej przeczytaniu spostrzegłem, jakem już o tem wspomniał, zamyślenie Staszica i spytałem go o szczerą radę, czyli ją znajduje godną przedmiotu, odpowiedział: „To spalenie przez Rosyan tak wielkiej i tak bogatej stolicy jest problematem nieodgadnionym, ale, zdaje mi się, nie jest Napoleona tryumfem, czekajmy co dalej nastąpi, czekajmy, aż się objawią jego istotne względem Polski zamiary”. Ta ostatnia zwłaszcza uwaga wstrzymała mnie od ogłoszenia tej ody, jednak jakoś się wymknęła, choć później, bo już za Królestwa Polskiego do rąk przyjaciół niepoprawna i odmienna od tej, którą potem poprawiwszy w papierach moich zachowałem. Do pierwszej się więc nie przyznaję. Druga może ma niejaki zalety, acz nie wieszczym duchem pisana, bo przepowiednie nie sprawdziły się. Tymczasem równie przed spaleniem Moskwy, jak po spaleniu, płynęły czasy w Warszawie swobodnie, nadziejami przez księdza Pradta głoszonemi ożywiane, dawał on często uczyty i wieczory, i wzajem uraczano go niemi. Podczas żniw p. Stanisław Potocki, chcąc mu okazać w całej świetności Wilanów i razem dać mu poznać zwyczaje ludu wiejskiego polskiego, wyprawił dla gromad swoich obżynki w wspólnym ogrodzie wilanowskim, gdzie tańce, krakowiaki z uwieńczonemi żniwiarkami, słupy i na nich

nagrody z szat i z pieniędzy dla młodzieży, co się na wierzeh tych słupów pięła i inne zabawy zajmowały przypatrujących się cudzoziemców. Cała prawie Warszawa wyległa do Wilanowa na ten widok, który się późno w noc przeciągnął.

Książę marszałek Czartoryski stał w domu na teraz będącym generała Wincentego Krasińskiego, dwa razy na tydzień dawał wieczory liczne, na których często ukazywał się w mundurze feldmarszałka austriackiego. Zwykłem mu był jako sekretarz konfederacyi rano przynosić do podpisania protokoly i pisma z poprzedzającej sesyi. Czasem zastałem go w łóżku, gdy mu kamerdyner na ołtasiałej głowie perukę z tupetem układał, książę zachowywał do najpóźniejszego wieku zwyczaj, który był do szkoły rycerskiej wprowadził, że nigdy szlafroka nie nosił, lecz prosto z łóżka mył się na pół ubrany i zaraz kładł suknię. Raz go zastałem smutnego i nieukontentowanego, a że lubił ze mną rozmawiać, zapytał mnie, czyli czytałem listy litewskie, a gdy odpowiedziałem affirmative, rzekł z gniewem: „Nowa nieroztropność pana Juliana, do czego to potrzebne, po co jątrzyć? Poniżając nieprzyjaciela, sami się poniżamy. W nieszczęściu taka niedołączna zemsta mogłaby się stać szkodliwą, w powodzeniu jest nieszlachetną. Ale Julian nigdy się z swoich nawyknień nie poprawi, gdy koncept śmieszny w głowie zaszmerze, język i pióro jego się nie wstrzyma, wystrzelić musi, chociaż tę swoją nierozwagę więzieniem przeplacił. Pamiętasz tę frazę jego przeciw królowi pruskiemu, którą pod Maciejowicami w kieszeni jego znaleziono, pamiętasz

na sejmie konstytucyjnym owe nazwanie przez niego cesarzowej Katarzyny? Imperatorowa nigdy tego przebaczyć nie chciała. Tak to gdzie szal, nierozsądek panuje, zabijamy nierozważnym patryotyzmem to, co ratować chcemy”.

Obehód imienin Napoleona 15 sierpnia chociaż się odbył uroczyście i po kościołach i na placach publicznych wśród igrzysk ludu, illuminacyi i transparentów, dzień był tak wietrzny i zimny, iż przeszkodził wesołości. Było też to po wzięciu Smoleńska, przy którym generał Michał Grabowski zginął, wielu oficerów poległo, radość więc powodzenia sprawy ojczystej mieszała się ze łzami zasmuconych rodzin. Nadeszła jesień, powietrze się oziębiło. Nadbiegły wieści o zawieszeniu broni, o traktowaniu o pokój. Czekano niecierpliwie nie bez bojaźni skutku układów. Badeni, którego spostrzeżenia zawsze były przezorne i trafne rzekł raz w rozmowie:—Czemu się on tak daleko zapędza, czemu się nie usadawia nad Dźwiną i Dnieprem, zima nadchodzi, on ich pobije, lecz oni go oszukają. — Wkrótce nastąpiło lecz nie rychłe cofanie się, mordcze bitwy w odwrocie, okropna przeprawa przez Berezynę. Chociaż nas rozmaitemi wiadomościami i wnioskami ludzila ambasada, twarze zasmuczone księdza Pradta i audytorów, częste ich wysyłki, daremne oczekiwanie generała Grenier, który innym punktem podążył do cofającej się armii, nakoniec spisek Maleta w Paryżu acz przytłumiony, lecz różne nastęrczające wnioski i obawy, niepokoili umysły. Zima coraz się bardziej srożyła, przejście korpusu pruskiego pod generałem York na stronę Ro-

syon już wątpliwości nie zostawiło o złym stanie francuskiego wojska, gdy nagle, niespodzianie zajęła pocztą kareta na saniach, i stanęła na Wierzbowej ulicy przed hotelem Gąsiorowskiego, siedział na koźle oficer polski, podówczas kapitan Wąsowicz, obok niego w polskiej sukni trzymający pocztę w Suwałkach Mikulicz. Wysiadło z karety trzy osoby. Jedna z nich niskiego wzrostu, otyła, w zielonej sobolowej długiej szubie, w czapce z takim samym futrem. Zajęła ona obszerny pokój na pierwszym piętrze, towarzyszący mu oficerowie rozbiegli się zaraz, jeden po ambasadora, drugi po p. Stanisława Potockiego i ministra skarbu, ci ostatni nim przybyli, już zastali księdza Pradta, jakie było ich zadziwienie gdy się ujrzeli przed Napoleonem; rozmawiał z nimi parę godzin i otwarcie, nie tań klęsk i błędów. Zimę najwięcej obwiniał i wtenczas to im powiedział te sławne słowa: „*Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*”. Nakoniec, zachęcając do wytrwania, do oczekiwania, dodał: że jedzie całą Francję i jej potęgę poruszyć, natchnął jakąś nadzieją, przenocował i odjechał, mijając Prusy i dążąc do Drezna. Nim się w podróż dalszą puścił, zawołał Mikulicza, wysypał na talerz 2000 napoleonów, dziękując mu za wierność, iż go zręcznie przeprowadził, mijając granicę pruską, która już dla niego po przejściu Prusaków stała się niebezpieczną. Warszawa dopiero dowiedziała się o przejeździe cesarza, gdy już odjechał. Od tej chwili ambasador według zapewne zostawionych instrukcyi zaczął odbywać narady, i z Radą konfederacyi i z rządem, o zwołanie Pospolitego Ruszenia, ze

szlachty w celu opóźniania postępu Rosyan. Te narady odbywały się zawsze w przytomności ambasadora francuskiego w jego pałacu, czuliśmy daremność tego środka, w obecnym politycznym składowaniu kraju, lecz ambasador, zapytawszy, czy się może z tego kraju ze 30,000 zbrojnych jeźdźców zebrać, utrzymywał konieczność uzbrojenia tej liczby. Zkądże to Pospolite Ruszenie mogło powstać. Cała młodzież szlachecka służyła w regularnym wojsku, starcy tylko lub niezdatni pozostali, z broni domy szlacheckie wyszły, chyba za broń policzonoby szable liche, zardzewiałe i flinty myśliwskie, nigdzie koni siodłowych ani ryszunków, na koniec jaki pożytek z niestornej i nieumiejętnej zgrai. Jakoż gdy się na pierwszy odgłos zjawił na ulicy w Warszawie poczciwy i już sędziwy szlachcic, w kurtee lisiej, z piką w rękę i z dubeltówką na plecach, lecz na tak lichej szkapie, że ledwie się wlokła, ujrzało obraz tego Pospolitego Ruszenia i śmiano się. Jednak Francuzi naciskali rząd i wymagali, bądź dla samego odgłosu i postrachu nieprzyjaciół, bądź dla wybadania ducha. Potrzeba było im dogodzić, aby w podejrzenie nie wpaść. Wydała więc Rada konfederacyi wieci do ogólnego powstania, proklamacya zaczynała się od tych słów: „Szlachto polska! do konia, do oręża!“ To wyrażenie nie podobało się demokratom i liberalistom, szczególnie Węgrzecki prezydent, człowiek poczciwy i dobry Polak, lecz zapalony demokrat, znalazł to wyrażenie anachronizmem. „Dla czego,“ wykrzykiwał między ludem: „Szlachto polska! czemu nie ludzie polski!“ Ledwie się dał nawrócić przekonaniem, że

taka była wola Napoleona, który poruszeń ludu nie chciał i takie żądanie ambasadora. Rada i rząd, widząc opieszałość i daremność tego środka, dla przyspieszenia go przystąpiła do mianowania marszałków, mających prowadzić te szeregi. Do przewodnictwa nie brakło na kandydatach, lecz zaraz nie brakło i na mnóstwie projektów od nich o organizacyi, randze, jaką w wojskowości posiadać mają, zgola u wielu głośniej odezwała się próżność, niż miłość ojczyzny. Raporta też od nich więcej sprawiły utrudzenia Radzie konfederacyi i rządowi, niż sprawie publicznej w takiej nagłości przyniosły pomocy. Musiano ich asymilować do generałów liniowych, a dla jednostajności w uzbrojeniu, na żądanie obywateli, szczególnie w wieku będących, dozwolono dawać zastępców ze szlachty, lub włościan dobrowolnie umówionych, na dobrych koniach, opatrzonych jednostajnym według przepisów rynsztunkiem. Wezwani duchowni zachęcałi po ambonach do gorliwości i pośpiechu, zaczęły się po miastach departamentowych ćwiczenia wojskowe. W lubelskim departamencie był marszałkiem Antoni Radziwiński, dawny kadet, potem w powstaniu Kościuszki generał cywilnego uzbrojenia, człowiek gorliwy, czynny, mający swą wziętość, lecz chępliwy, gadatliwy, i na zbyt wielką skalę mierzący swe zasługi i zdolności. Mając pod swoją komendą gwardyę miejską i już z Pospolitego Ruszenia uzbroiwszy kilkadziesiąt jeźdźców, chciał doświadczyć czyliby na przypadek nagłego napadu ludność miasta i urzędnicy stanęli do obrony. Kazał więc patrolom, które wysłał, fałszywy alarm zrobić, zbiegła

się wprawdzie ludność na pół uzbrojona, prefekt książę Maciej Jabłonowski wsiadł na konia, lecz to wszystko w takim nieporządku i postrachu, że na placu już strzelać zaczęli, choć nie było do kogo. Prefekt zleciał z konia, innych szkapy ponosiły, a tak fałszywy alarm nie odbył się bez szwanków. Ten Radziwiński jednak skwapliwiej jak inni marszałkowie uzbroił do 200 jeźdźców, których potem zebranych ze wszystkich departamentów książę Józef wcielił do pułków regularnej jazdy. Mimo tej zasługi, próżność Radziwińskiego, jego na śmieszność, Radę konfederacyi i rząd na prawdziwe uciążenie narażała; liczne swoje a co dzień prawie przychodzące raporty w nadziei, że będą drukowane aż do pewnego rodzaju farsy posunął. Mniemał, że na jego głowie i sile polega bezpieczeństwo departamentu. „Jeżeli wysłał z dwóch lub trzech ludzi podjazd, jużci go 5 lub 10 ludźmi umocnić musiał, wzmocniony ten podjazd wstrzymał kilkotyśięczną kolumnę nieprzyjacielską, nakoniec stoczył z nią walkę, i cofnął się i t. d.” Podobne śmiesznej próżności przechwałki trwały póki kontyngens marszałków do regularnych szeregów wcielonym nie został. To się działo w ostatnich miesiącach roku 1812, i w pierwszych 1813, podczas cofania się przemarzłej i rozpierzeźnionej armii Napoleona.

Lecz i w Warszawie na początku tej strasznej kampanii, mieliśmy widok podobny do owej rewii lubelskiej. Cesarz Napoleon nim z Wilna postąpił ku Dźwinie, zezwolił na uformowanie dla siebie gwardyi litewskiej ułanów w podobieństwie tej, która go z Księstwa Warszawskiego otaczała, przegna-

czył do niej szczególnie młodzież szkolną i akademicką, i mianował jej pułkownikiem znanego z talentów wojskowych i waleczności oficera Konopkę, kazał mu śpieszyć uzbrojenie i podążyć za sobą. Konopka, znajdując trudność w nabyciu dobrych koni, zjechał do Warszawy dla formowania tego pułku, młodzież litewską z sobą przyprowadził, i w krótkim czasie pułk pięknie uzbrojony wystawił. Mając śpieszyć do armii, chciał przegląd swych szeregów zrobić i manewry z nim na dziedzińcu saskim wykonać. Mnóstwo ludu zgromadziło się na plac i na ulice. Manewry nie szły pomyślnie, bo konie były niesforne, a jeźdźcy niewłózeni, jakoż gdy zakomenderował: „marsz! marsz!” konie na pół dzikie wzięły na kiel, wierzgać i unosić jeźdźców zaczęły, kilkunastu z koni zleciało, przecież bez szwanku, lecz ci, co dosiedzieli, stracili przytomność, proporce ich wymierzyły się jak do ataku, i tak noszeni po ulicach nie jednego ranili. Wrzawa, zamieszanie, ucieczka ludu, przecież i tu mało było szkodliwych szwanków, więcej przestradchu, a wśród tego wypadku, którego byłem świadkiem, pierwszy raz ujrzałem leżącego na ziemi Franciszka Grzymałę, akademika wtenczas wileńskiego, za królestwa Polskiego dziennikarza Astrei, pisarza niepospolitego, lecz zawodowego, w roku 1831 wsławionego mówcą i partyzanta, a dziś nieszczęśliwego tułacza.

Wkrótce po przejeździe Napoleona, obraz tego okropnego odwrotu z Moskwy rozwinął się przed naszymi oczyma. Owej ogromnej armii z tyłu różnorodnych narodów złożonej, po zgubnej przeprawie przez Berezynę i zajęciu Wilna przez Rosyan,

rozpierzchnione, zmarzłe, i tułające się szczątki napelniały miasta prowincjonalne, włości, domy i samą Warszawę. Jaka była ich postać tych bohaterów wczorajszych, trudno dobrać tak smutnych kolorów. Zmarzli, obdarci, w rozmaitych strojach podobniejsi do żebraków, jak do żołnierzy. Sam napotkałem grenadyera Westfalczyka, tak zmarzłego i taczającego się, że broni unieść nie mógł, i byłby padł na pół nieżywy, gdybym mu był pomocy nie udzielił. Jakże od nich odbijał pułk Welitów włoskich, który, dążąc do armii, zatrzymał się w Warszawie w oczekiwaniu na dalsze rozkazy; kiedy bohaterów rozsyłano po szpitalach, młodzi panice włoscy ślicznie wystrojeni i wymuskani, zapraszani do towarzystwa stolicy, śpiewali pięknymi głosy i używali wszystkich przyjemności. Wkrótce i rozbitki armii polskiej przybywać zaczęły. W mniej smutnym stanie jak francuskie, lecz zbyt uszczuplone. Zjechali się generałowie Knaziewicz, Zajączek i inni; jedni ranni, drudzy dyaryą schorzali, wszyscy przemarznięci i schudzeni. Wtenczas porzucił komendę, to jest dla słabości zdrowia uwolniony od niej został generał Krópiński. Generał ten, zacny człowiek, gorący patriota, wychowaniec Puław, przyjaciel od serca księcia Adama Czartoryskiego, więcej literat jak żołnierz, pisarz gładki i poprawny, łatwy i wówczas jeden z celniejszych rymopisów, najmniej był zdatny do dowództwa w wojsku Księstwa Warszawskiego, i z powodu zdrowia i słodyczy charakteru szkodliwej wśród tak twardych doświadczeń. Książę Józef przyjechał na końcu, przybył także i rząd litewski. Książę zajął się za-

raz opatrzeniem i uzbrojeniem Modlina, gdzie się z wielu innymi oficerami zamknął Aleksander Chodkiewicz, pułkownik pułku przez siebie w Litwie uzbrojonego, lecz jeszcze zupełnie nieufornowanego. Generał Kniaziewicz, nie lubiący Napoleona i wyrzekający na jego błędy, kiedy spieszył odetchnąć na łonie zacnej i wielbionej przez siebie żony, Morsztynówny z domu, już ją zastał w grobie. Badeni Marcin i ja uprzedzeni byliśmy od familii prośbą, aby generała Kniaziewicza zatrzymać i przygotować do zniesienia tego nieszczęścia. Dwa tak wielkie ciosy, klęska ojczyzny i strata żony, przez dni kilka wyciskały łzy z tej silnej duszy, nim się w bólu zacny mąż upamiętał. Kilka dni chorował, nie puściliśmy go aż wyzdrowiałego do Krakowa. Lecz i my wszyscy już mieliśmy przecucia, i przekonanie, że tak rzeknę, że wkrótce Polsce z jej reprezentacją przyjdzie w Krakowie szukać chwilowego schronienia. Wśród tych okoliczności książę Czartoryski generał i marszałek Rady konfederacji oddalił się z rodziną z Warszawy do Sieniawy, pan Zamoyski objął ster Rady. Książę Pradt z członkami poselstwa, i generał Dutailis udali się do Dreza. Bignon, minister francuski, akredytowany przez Napoleona przy rządzie litewskim, objął jego miejsce, z dawnej ambasady tylko pan Lajard sekretarz pozostał, zaczęły się między rządem a p. Bignon narady, co czynić gdyby postępujące powolnie wojska rosyjskie przysunęły się pod Warszawę, której bronić siły nie było. Stała się decyzja usuwać się z rządem, składami i szczątkami wojska do Krakowa, i tam oczekiwać na nowe wypadki, które Na-

poleon gotował, poruszywszy całą Francję, każdy więc przygotowywał się do wyjazdu, do pielgrzymstwa, Bóg wie gdzie? i na jak długo? A tu kieszenie były puste, pensyi nie płacono, kredytu nie było, każdy o sobie myślał. Ja wtedy oddałem do mennicy srebra moje za 500 czerwonych złotych, i wyprawiwszy żonę z jedynakiem synem na wieś, pod opieką brata mego infułata zamojskiego, i drugich matek moich, owych podkomorzanek Golezówien, które wyżej opisałem, oraz Joachima Owidzkiego mego kolegi i przyjaciela, który zdecydował się na wsi pozostać, czekałem chwili a raczej hasła do wyjazdu. Zdziwiło mnie to jednak nie pomalą, że rząd nie przedsiębrał wczesnego wywiezienia akt bióralnych i zdawał się jeszcze oczekiwać. Gdy jednego wieczora poszedłem odwiedzić ministra skarbu, Matusewicza, naczelnikierującego w pomysłności i niepomyślności toczącą się ojczyzną sprawą, zastałem u niego generała Krópińskiego i znalazłem obydwoh w żywej rozmowie, ale z twarzami mniej zasmuconemi, jakie zwykle u nich widywałem i jaką sam miałem. Przerwali rozmowę, a po krótkim milezeniu gdy się odezwałem, że Rosyane coś leniwo postępują i może nim się zbliżą do Warszawy, wojska francuskie już na jej pomoc pospieszą, gdyż podobno jak czytałem w gazecie paryskiej, kohorty nowo ruszone już weszły do Niemiec, Krópiński się odezwał: „Ja tego nie wróżę, uwodzą nas tylko, tak jak przyhyciem Greniego. Napoleon nie chciał Polski stworzyć kiedy mógł, terazby może chciał kiedy nie może. Austria mu szczerze nie pomaga, Niemcy zrzucą jego jarzmo,

a my będziemy opuszczeni na pastwę obcych, może nawet naszą ofiarą dokupi się bezpieczeństwa Francji” — Na to Matusiewicz odezwał się: — „Przy nim można mówić otwarcie, on tak jak my nie Napoleona kocha, lecz Polskę.” — i rzekł do mnie; „Czytałeś proklamacyę cesarza Aleksandra, którą generał Czaplic, wchodząc w nasze granice, rozrzucił?” Gdy odpowiedziałem, że pierwszy raz o niej słyszę, „Ja ci ją przeczytam” rzekł Matusiewicz i, otworzywszy do stolika, wyjął z koperty drukowaną odezwę do Polaków, której niespodziewana treść, i najwspanialsze obietnice zadziwiły mnie. Cóż mówisz na to? z kimże tu trzymać? podobno więcej można zaufać cesarzowi Aleksandrowi, który od młodzińskich lat z mocnego przekonania, tak moralnego jak politycznego zawsze utworzenie Polski miał na myśli, i ma je dotąd, niż Napoleonowi, który wszystkie narody poświęca swojej ambicyi, a stałej polityki nie ma, prócz upokorzenia Anglii, i może założenia monarchii uniwersalnej. Wszakże my dla Polski krew przelewamy, dla Polski tyle ofiar ponieśliśmy, i nie wiemy kto nam tę Polskę taką jak była da; z tym podobno przez miłość Polski trzymać wypada, który nam ją przywrócić chce i może; byłoby występkiem odpychać rękę, która się ku nam dla naszego ratunku wyciąga”. „Ale — odrzekłem, — niech Napoleon jeszcze pomiesza szyki cesarzowi Aleksandrowi, i nowo utworzonej koalicji, czyli skwapliwem przerzuceniem się na stronę jego nieprzyjaciela, nie dostarczymy mu powodu do wyrzeczenia się Polski, i do poświęcenia nas swojej zemście, jako niewdzięcznych i wiarołomnych, a wten-

czas ani istnienia, ani szacunku, ani politowania u obcych nie znajdziem".—„To też—odpowiedział,—skwapliwości nie potrzeba, ale namyślać się należy i oczekiwać; zobaczymy co król saski przedsięwzięmie. Podobno i on się chwieje i wyjechał z Drezna. Ja się do niego udaję, co on postanowi wkrótce wiedzieć będziem, nam za jego wzorem i radą iść należy." Nie dopowiedział mi atoli Matusiewicz wszystkiego, co się po tem odkryło, że on, Sobolewski, Mostowski już mieli sobie uczynione propozycje przez generała Czaplica, w imieniu cesarza Aleksandra, że weszli z nim w piśmienne porozumienie się, że podali cesarzowi swoje warunki i że te przyjęte zostały, co się dopiero odkryło w Krakowie, a w szczegółach w kilkanaście lat potem sam Mostowski mi opowiedział, i owe wzajemne propozycje własną jego ręką nakreślone okazał, (opowieściem to obszernie pod jego osobą). Przed Radą konfederacyi wszystko to tajemem było, niepodobna jednak, aby niektórzy członkowie jak p. Zamojski, Linowski nie wiedzieli o proklamacyi, kiedy się już wojska rosyjskie coraz bliżej przysuwały ku Warszawie. Przecież duch Rady konfederacyi był niezachwiany, dzielić chciała do ostatniego losy Napoleona. W tych uczuciach przetrwała Rada miesiąc styczeń i grudnia połowę, a skoro książę Józef szczytki wojska polskiego wyprowadził ku Krakowu, i sam się w tę podróż puścił, Rada konfederacyi wyjechała także z aktami do Krakowa. Podróż moją opisałem pod osobami Staszica i Badeniego. Ministrowie rządu Księstwa Warszawskiego udali się podobnie w podróż, jeden tylko radzca

stanu, Michał Kochanowski, wprzód zastępujący ministra spraw wewnętrznych, nim Mostowski przybył z Francji, pozostał w Warszawie, a raczej ministrowie tylko i Rada konfederacji pojechała, Rada stanu, senatorowie, sądy, a nawet bióra ministeryalne nie opuściły stolicy, żadnych akt ni papierów nie wywieziono, sądzą, iż to wszystko już było w związku z proklamacją cesarza Aleksandra, która tę ufność wzbudziła, tem większą, iż może przez organ księcia Adama Czartoryskiego precyzyjnie się wiadomość o osobach mianowanych do rządu tymczasowego, po większej części Polaków, i to wsławionych patriotyzmem. Jakie były czynności Rady konfederacji wspomniałem wyżej, tu tylko dodam, że mimo już różnych insynuacji, święcie trzymając się zawiązanego aktu, i ciągle zapatrując się na postępowanie księcia Józefa Poniatowskiego, i wojska w którym nieszczęścia nie osłabiły ducha, a wiara w gwiazdę Napoleona utrzymywała zapal, dotrwała aż do końca w nieskażonej wierności.

Ta atoli Rada w Krakowie rzadko kiedy odbywała swoje posiedzenia, gdyż już nie miała żadnych czynności. Akcesa już się skończyły, i ostrożne oglądanie się na okoliczności już się zaczęło. Rada ta złożona była z dwóch żywiołów jednorodnych, jednomyślnych, lecz wiekiem a zatem postępowaniem różnych. Starsi, zacząwszy od księcia generała Czartoryskiego, p. Zamojski zięć jego, ksiądz Gołaszewski biskup, Badeni, Skórczewski nawet w tem trudnem położeniu jednego byli zdania, ksiądz Skórczowski, Wężyk, Ostrowski zawsze gorąco i żywo rzeczy brali. Linowski raz umysły

podburzał, to znowu je hamował. Ja na starszych się zapatrywałem. Z natury położenia nastęzczała się kwestya do rozwiązania, co zrobi z sobą Rada konfederacyi generalnej, gdy Rosyane zechcą zająć Kraków, czy się ma udać za wojskiem, czy do Drezna, lub Paryża. Ta kwestya już rozbiekana była w chwili, w której się rząd tymczasowy rosyjsko-polski usadowił w Warszawie, pod prezydencyą generała Łanskoj, i dwóch tylko Rosyan, a trzech Polaków w gronie swoim liczył, to jest księcia Adama Czartoryskiego, Wawrzeckiego i Lubbeckiego. Już wtedy ślepy los, a raczej wola opatrności, doświadczająca równie narodów jak ludzi zaezła to igrzysko z rodziną Czartoryskich, wybierając sobie na ofiarę tego najzacniejszego, najszlachetniejszego członka ich rodu, któremu marzącemu zawsze o Polsce i pragnącemu dokupić się jej, krwią i życiem swoim, raz z tej, drugi raz z innej strony tę zwodniczą marę okazując, stałość jego o ubieganie się za tym przedmiotem, pozorem słabości i zmienności w oczach nie jasno widzących okryła, odjęła mu ufność, podała w podejrzenie u płochych, płytkich lub zagorzałych umysłów. Tym to sposobem nie wzbudzał on zupełnego zaufania w rodakach, a wkrótce postradał je u tego monarchy, w którym jedynie zbawcę Polski z przekonania upatrywał. W istocie samej był to widok trudny do pojęcia. Z jednej strony oglądano księcia ojca, zięcia jego w Radzie konfederacyi francusko-polskiej, syna jednego ks. Konstantego na czele pułku francusko-polskiego, a drugiego syna nie dawno ministra interesów zagranicznych państwa rosyj-

skiego, senatora tegoż państwa i powiernika zamiarów stworzenia Polski, już zaczynającego wierzyć w gwiazdę Napoleona, i tylko uczuciem honoru i wdzięczności osobistej wstrzymanego, lecz osłabiającego ufność i tam, gdzie ją miał, i gdzie jej nabyć pragnął. Stan taki musiał się odbić podejrzliwością ze strony francusko-polskich patryotów przeciw tym członkom Rady, których jakie bądź związki z Puławami łączyły. Powziął tę podejrzliwość i minister francuski Bignon, powziął tem więcej z owych posłanników do księcia Józefa, Szaniawskiego i księcia Antoniego Radziwiłła, o których wyżej już wspomniałem, gdy wypadek nieprzewidziany odkrył mu już niewątpliwą prawdę nie tylko o uczynionych propozycjach ze strony cesarza Aleksandra, lecz o ich przyjęciu przez członków najczynniejszych rządu, to jest przez Matuszewicza, Mostowskiego i Sobolewskiego. Cesarz Aleksander, odebrawszy od generała Czaplica pisma i korespondencje tych trzech ministrów przesłał je księciu Adamowi Czartoryskiemu, gdy ten jeszcze bawił na Wołyniu. Książę, mianowany do rządu tymczasowego, zachował je w swojej szkatułce, a szkatułkę powierzył jednemu ze swoich sekretarzy, który się miał bezwzględnie za nim do Warszawy udać, lecz podobno innym traktem to jest na Sieniawę, może dla wyjawienia ustnie księciu staremu rozpozczętej negocjacji o Polskę. Przejeżdżającego przez komorę austriacką zrewidowano, szkatułkę, papiery zabrano i opieczętowane odesłano do Wiednia. Rząd austriacki, bądź, że się z zamiarami swemi wydać przed cesarzem Napoleonem nie chciał, bądź

w istocie wierność swoją przymierzu udowodnić pragnął w chwili, w której już Napoleon ze świeżemi kohortami dążył na plac boju, te wszystkie papiery i korespondencye jako ostrzeżenie odesłał do rąk cesarza Napoleona. Cesarz nie dał im takiej wagi, jaką przewidywano, odesłał je Bignonowi do Krakowa, nie wiadomo mi z jakimi instrukcyami, lecz się to utaić nie mogło. Sama niespokojność i pomieszanie dwóch ministrów Mostowskiego i Sobolewskiego, gdyż Matusiewicz był w Dreźnie wyjawily to wydarzenie, i różne o następstwach jego rozbiegły się wieści. Jedni mówili, że minister Mostowski, lękając się, aby go Bignon aresztować i do kwatery Napoleona odesłać, lub Radzie konfederacyi sądzić nie kazał, wyłómaczył się przed Bignonem. Drudzy twierdzili, że Bignon o aresztowaniu ich zamyślał, lecz rozdrażniać umysłów i do ostateczności ich pobudzać lękał się. Wkrótce same okoliczności zniweczyły te niespokojności. Forpoczty rosyjskie ukazały się pod Krakowem. Książę Józef Poniatowski cofnął się z swoją szczupłą armią, w celu połączenia się z Napoleonem w Śląsku. Zaczął się więc odwrót. Ambasada francuska udała się w podróż do Paryża. Rząd, księstwa, ministrowie, rząd litewski znajdując się wtedy w Krakowie, różnemi drogami wybrały się ku Paryżowi. Nim się zaś zalimitowała Rada konfederacyi, Bignon przez członków gorąco trzymających się strony francuskiej żądał, aby Rada *in corpore* wraz z nim wyjechała do Francyi, lecz gdy większość Rady przedsięwzięła schronić się do Galicyi z aktami i tam nowych wypadków oczekiwać,

członkowie, będący innego zdania: Ostrowski, Wężyk i ksiądz Skórkowski oświadczyli Bignonowi, iż gdy Rada w całym składzie nie chce udać się do Paryża, oni jako jej reprezentanci gotowi są mu towarzyszyć. Bignon przyjął mile to ich oświadczenie, lecz wkrótce rozważył, że aby Rada mogła reprezentować naród, komplet przepisany aktem mieć powinna. W tym stanie rzeczy starał się przekonać prezesa rządu p. Stanisława Potockiego o konieczności skłonienia Rady konfederacyi do wyjazdu do Francyi, gdzie rozpierchnieni członkowie rządu litewskiego i bawiący w Krakowie zebrać się przyrzekli. Zdziwiłem się gdy jednego rana ujrzałem wchodzącego do mnie p. Stanisława Potockiego z temi słowy: „Pan się zdziwisz propozycją, z którą do niego przychodzę, tym Francuzom uroiło się w głowie, aby Rada konfederacyi udała się za nimi w komplecie do Paryża. Czterech członków oświadczyło się, że dogodzą ich żądaniu, piątego im brakuje, nie wiem dla czego przywiązują do tego jakąś wagę, abys pan jako sekretarz tej rady i najświadcniejszy rzeczy wraz z aktami i kancelaryą połączył się z nimi, jeżeli miałbyś chęć i tylko nie-sposobność cię zatrzymuje, ja mam od króla upoważnienie asygnowania ze skarbu księstwa do sumy 100,000 złotych na nadzwyczajne wydatki. Ja panu wypłacić każę sumę jakiejbyś żądał.” Niepomału zdziwiony odpowiedziałem: „Z własnych moich funduszów przygotowałem się na długie tułactwo, nie potrzebuję więc żadnej od wyniszczonego kraju pomocy, gdybym nawet był bez żadnego zasobu, a J.W. prezes przekonał mnie, że ta podróż moja

może się stać memu krajowi użyteczną, gotówbym ją pieszo przedsięwziąć; przecież do wywiezienia akt z kraju potrzebowalbyśmy upoważnienia Rady, której większość pozostać w kraju, lub usunąć się do Galicyi przedsięwzięła, a przynajmniej marszałka konfederacyi, który jest w Sieniawie, lub wiceprezesa, który jest zupełnie innej opinii, i wszedłem z nim w obszerną rozprawę, którą kończąc rzekłem: Usunięcie się nasze do Galicyi zupełnie odpowiedzieć powinno widokom ministra francuskiego, wszakże Napoleon dąży z kohortami do Śląska, może po zwycięstwie wejdzie znowu na ziemię polską, więc oczekując go w kraju sprzymierzonym znajdziemy się znowu przy nim. Sam p. Bignon, wybierający się dziś do Paryża, odbierze zapewne wtedy rozkaz powrotu z całym swoim poselstwem do Polski. Czy i to nie jest przezorniej, i czy nie z większą godnością dla reprezentacyi narodowej tak działać jak puszczać się na włóczęgostwo, i nie wiedzieć jaką grać rolę, czy reprezentantów, czy emigrantów.“ „Masz pan zupełną rację—ozwał się prezes Rady ministrów—ja sam tak przekonany jestem, i jako reprezentant króla saskiego, księcia warszawskiego udam się nie do Paryża, lecz do Drezna, tam jest moje miejsce, nie przyszedłem pana namawiać, lecz jedynie chciałem dogodzić naprzykrzaniu się Francuzów i wywiązać się z polecenia, mnie się nawet zdaje, że sami Francuzi nie naciskaliby tak na Radę, gdyby włodzi jej członkowie nie podburzali ich. Nie uwierzysz jaki ja mam kłopot ze Stasiem Grabowskim, któremu się także w głowie pali, i wszystkie plotki do Francu-

zów nosi.⁷ Tak więc pan Stanisław nietylko mnie nie namawiał, ale utwierdził w mojem przekonaniu, i w zamiarze pozostania z większością.

W czasie mego pobytu w Krakowie dzień 19 marca obchodzono wspaniałą ucztą, którą w Sukiennicach wyprawiło miasto i wojsko na cześć solenizanta dnia tego księcia Józefa Poniatowskiego. Owe Sukiennice Kazimierzowskie umajono drzewami oranżeryjnymi, oświetlone zewnątrz i wewnątrz, urządzono w nich wspaniałą wieszczkę. Wszystkie najznakomitsze osoby znajdowały się na tym festynie. Młódź zbrojna tańczyła do białego dnia. Miesiąc kwiecień był ciepły i pogodny, zaczęły się spacerować, podwieszczki, kawalkady, przewodniczyla im pani Janowa Wielopolska z domu Potulicka. Opiszę mój śmieszny wypadek, wydarzony w czasie tego rodzaju zabawy na Bronisławie. Miasto Kraków dawało tę ucztę, i zaprosiło wszystkie kobiety, znajdujące się wtedy w mieście, całą młodzież wojskową i cywilną, i wiele znakomitych osób. Ja nie otrzymałem zaprosin. Badeni radzca stanu proszony, radby się był wymówić, lecz żona wymagała koniecznie, żeby jechał, co tem więcej go odstręczało. Pani Badeniowa, Wawrzecka z domu, siostra rodzona naczelnika powstania po Kościuszcze, sławna nietylko w Krakowskim, lecz w Litwie i w Polsce z swoich dziwactw, kaprysów, śmieszności, a razem i z rozumu, gadatliwa, śmiała, naprzykrzona tak, że mąż odłączył się od niej, a przecież nie pozbył się udręczeń, uroiła sobie w głowie zmusić męża do rezygnacyi urzędu dyrektora generalnego dóbr i lasów narodowych, bez względu na

czasy, na okoliczności, na przyzwoitość, zgoła na niepodobieństwo. Badeni dręczony od niej użył mnie do przekonania jej o tem niepodobieństwie, gdyż, jak mi oświadczył, miała mieć ufność i we mnie i w zdaniu mojem. Otóż, chcąc uchwycić dla mnie sposobność pomówienia z nią, najusilniej mnie prosił, abym z żoną jego w jego miejscu na Bronisławę jechał. „Ale jakże ja mam jechać — odpowiedziałem, — kiedy nie jestem proszony, przy tem czy Jejmość zgodzi się na to towarzystwo?” „Już ja to ukartowałem — rzekł — owszem, pod warunkiem jeżeli ty z nią pojedziesz uwalnia mnie ona, zapewne w pojeździe będzie ci mówić, abys jej niedorzeczne wymagania popierał u mnie, wtedy staraj się ją przekonać, że tego dla mego honoru uczynić nie powinieniem i nie uczynię”. „Ale powtarzam ci, zaproszony nie jestem.” „Proszony jesteś — odparł Badeni — to tylko jakaś omyłka, bilet się gdzieś zawieruszył, moja żona prezentować cię będzie gospodarzom, zobaczysz jak ci wdzięczni będą, żeś przybył.” Czegóż się nie zrobi dla przyjaciela, którego się szanuje i kocha. Wsiadłem więc do powozu JW. Badeniowej i wyjechaliśmy wśród kilkudziesięciu innych pojazdów i wśród rozmaitej obojej płci jeźdźców z skwapliwą chęcią udających się na Bronisławę. Ledwieśmy byli za miastem, co przewidywał mąż stało się. Pani Badeniowa zaraz w żywych wyrazach zagaiła interes, którym od kilku tygodni męża męczyła, wymagając po mnie, abym koniecznie go skłonił do pójścia za jej radą, przychylną, jak mówiła, jego honorowi. „Jak też pani jaka dobra i troskliwa żona możesz od męża

żądać rzeczy tak przeciwnej jego dobrej sławie, i wszelkim względom przyzwoitości, jak możesz po przyjacielu wymagać, ażeby że tak powiem, zdradzał jej męża, jak pan Badeni może się zrzekać urzędu w tych czasach zaburzenia, chociażby żądał nie otrzymałby dymisyi przed zdaniem rachunków z administracyi dóbr narodowych, a samo żądanie czyżby go nie naraziło na posądzenia, krzywdzące jego enotliwy charakter; nie, mąż pani tego uczynić nie powinien i nie uczyni, i ja mu tego nie tylko odradzać nie mogę, lecz starać się będę utwierdzić go w jego przekonaniu." Na te słowa JW. Badeniowa wpadła w uniesienie, krzyknęła przez okno od karety na stangreta: „Stój“! na lokaja „otwieraj“! zaczęła pięściami tłuc w drzwiczki od karety i wołać: „Takiśto mój przyjaciel, to za Marcinem trzymasz; precz, precz z moich oczów, precz z mojej karety." Z początku brałam tę scenę za zbyt rubaszny żart, lecz gdy i mnie już seryo wypychać zaczęła, nie poprzestając na samych słowach, i gdy na twarzy spostrzegłem wyraz gniewu zapamiętałego, wyskoczyłem z pojazdu i pieszo wracałem do Krakowa, spotykany przez przejeżdżających, badany z ciekawością i wystawiony na pośmiewisko lub politowanie, gdy nagle usłyszałem głos z karety wrzeszczący: „Wracaj, wracaj waryacie to żart, to żart," a gdy nie wracałem, pani Badeniowa wyskakuje z karety, goni mnie, pędzi, nie zważając na wiatr, który czupiradła na głowie, w jakie się przystroiła rozrzuca, z rozcuchraną więc głową, zamiatając piasek po gościńcu, ogonem od sukni dopędza mnie, i oto klęka przedemną z uśmiechem i błaga,

abym wrócił do karety. Unikając nowego scennego widoku i pośmiewiska, chcąc i tę dramatyczno-komiczną scenę skrócić, wsiałem do karety i tak mnie dowioła pani Badeniowa do Bronisławy, przeprasając, a na zgodę przyrzekając, że męża więcej o zrzeczenie się urzędu dręczyć nie będzie. Prezentowała więc mnie gospodarzom, wypijali moje zdrowie, jako księdza referendarza dla czarnej sukni, w którą byłem przybrany. Żalowali mnie wszyscy, i śmieli się z mojej przygody, dziwiąc się, iż się udałem w towarzystwie tej pani znanej z dziwnego i żywego charakteru, chociaż jako matka i obywatelka miała niezaprzeczone prawo do powszechnego szacunku. Gdy powróciwszy opowiedziałem mężowi awanturę, na którą mnie naraził, przeproszał mnie, lecz razem dziękował, że tą przyjemnością okupiłem go od naprzykrzenia, a ze szczegółów śmiał się do rozpuku.

Stojąc w jednym domu z zacnym Marcinem Badenim, często wyjeżdżaliśmy na spacer za miasto dla świeżego powietrza i to coraz w inną stronę, i byliśmy świadkami kilku wydarzeń, które nas przekonały jak żołnierz polski waleczny, szlachetnego serca, zdolny poświęcenia, łatwó wylamuje się z karbów karności, jak skłonny do burdactwa i do swawoli. Przytoczę tu te wydarzenia, nie dla oskarżania rodaków, lecz z przekonania, że póty się z wad naszych nie poprawimy, póki sobie śmiało w oczy prawdy mówić nie zaczniemy.

Jednego wieczora jadąc, przed pierwszą karczma spostrzegliśmy kilka fur, otoczonych kilkunastu włościanami, gdyśmy się zbliżyli do karczmy, wło-

ścianie zatrzymali nas, pokazując włościanina, leżącego na wozie, z uciętym uchem i krwią zbroczonego, i prosząc, abyśmy im dali opiekę od napastnika żołnierza, który ich furię zatrzymał, a ludzi szabłą rąbie i kaleczy. Że ten napastnik był w karczmie i pił za stołem wódkę, Badeni kazał lokajowi wejść i prosić go do nas. Wyszedł więc młody podoficer porządnie pijany i nie zdejmując furazerki zapytał, czego od niego żądamy? Wtedy Badeni zaczął mu wystawiać całą nieprzyzwoitość i gwałtowność jego postępowania. Włościanie, widząc, że bierzemy ich stronę, zaczęli go oskarżać. On także chciał się bronić, a że mu włościanin przeszkadzał, krzyknął na niego: „*Tais toi bête*”. Przecież to był Polak rodowity, udawał tylko Francuza. Gdyśmy się go zapytali z którego jest pułku, i gdzie jego pułkownik stoi, pokazując galonki podoficerskie na rękawach, odrzekł: „Wiecie panowie, co to jest? to jest Napoleońskie, Wiwat Napoleon wielki!” i odszedł od nas. My jednak, dowiedziawszy się w blizkiej wsi o komendancie, opowiedzieliśmy mu całą rzecz, posłał więc zaraz z rozkazem uwolnienia fur zatrzymanych, a zuchwalca do siebie sprowadzić kazał.

Innym razem, jadąc ku Igołomi, przejeżdżaliśmy w miesiącu maju w bliskości lasu, w którym usłyszeliśmy hałas i krzyki. Wyszło do nas dwóch włościan, którzy zatrzymawszy konie, rzekli: „Niech panowie będą łaskawi uratują biedne dziewczęta od rozpusty, oto młodzi wojskowi panicze pogonili za nimi, dziewczęta pouciekały na drzewa, lecz oni je ściągają”. Pośpieszyliśmy więc do poblizkiego dwo-

ru po pomoc, bo trudno było uganiać się po lesie za rozpustnikami. Szlachcic obywatel wysłał zaraz ekonoma, nam zaś oświadczył, że to samo się codziennie dzieje gdziekolwiek ci panicze stoją, byli tam między nimi oficerowie ze sztabu księcia Józefa, zadziwił się Badeni, gdy się dowiedział o ich imionach. Ja je zamilczę. Już się oni oddawna poženili, zestarzelili, są słusznymi ludźmi, żałują zapewne usterków młodości. Pamięć jednak tego wydarzenia natchnęła mnie cztery wiersze w poemacie „Czarnecki”.

O młodości! o wieku sławy lub zakąły,
 Jakis uroczy, póki więzisz twe zapąły,
 Lecz skoro sprośnym chuciom popuścisz wędzidla
 Jakże twój zawód hydny, a słyuność obrzydła.

Innego razu, jadąc razem do Zborowa do Wielogłowskiego, który miał rodzoną siostrzenicę Badeniego za sobą, zajechaliśmy na popas do karczmy, a że dzień był pogodny, nim nam sporządzono obiad, usiedliśmy na ławie przed karczmą. Badeni miał zwyczaj zapytywać się przechodzących lub wchodzących do austeryi włościan, i wdawać się z nimi w rozmowę, a dowiedziawszy się, że idą od Wisły, której brzeg lewy trzymały jeszcze wojska sprzymierzone austryackie i saskie, i część jakaś mała polskiego, zapytał się: „Jak się tam Niemcy z wami obchodzą”? Włościanin odpowiedział: „Nieźle, tylko to najprzykrzej, że się z nimi rozmówić nie można, lecz hyle człowiek dał im kwatery i żywność jaką taką, to dobre ludziska, osobliwie Sasi, nawet płacą i jeszcze poczęstują”.— A nasi jak się

obchodzą? — zapytał Badeni. — „Oj dobrodzieju — rzekł z westchnieniem—to poganie. — Jak sztychem uderzyło nas to słowo. Badeni się zasmucił i rzekł: „Chcą ducha, chcą Polski, a jak na nią zarabiają, jak odrażają od niej, nie jeden chłopiec przypomni sobie rząd obcy spokojny, opiekuńczy dla wieśniaków i będzie wołał władzę obcych, jak rodaków”.

Wśród tego rodzaju uwag, spostrzegliśmy podróżnego żyda, idącego śpiesznym krokiem gościńcem ku karczmie. Niósł w ręku laskę dość grubą, potrząskaną. Gdy się zbliżył, usłyszeliśmy z ust jego słowa: — „*Oj ojczyzna, ojczyzna!* i pokazując nam kij, dodał: — To jakiś zbójca w mundurze potrząsał o moje plecy, powtarzając: znaj, żydzie, co to jest ojczyzna. — Oj, ojczyzna, ojczyzna!” — i zaczął się kryć za nas. Jakoż wkrótce na tym trakcie ukazał się grenadyer dorodny, z całym pakunkiem do marszu, z bronią w ręku, przecież minął karczmę, gdy żyd ujrzał, że się oddala, ośmielony naszą przytomnością, zaczął wołać: „Czy to tak żołnierze robią, nie dawnoś ten mundur przywdział, a wprzód od ekonomy brałeś bato-gi, a teraz rozbijasz ludzi”. Grenadyer stanął, grożąc mu tylko, — „pójdź-no tu hultaju, a nauczę cię rozumu”. — Żyd skrył się za nas od strachu, a grenadyer pośpieszył w swoją drogę. Gdyśmy przyjechali do Zborowa, Badeni odebrał wiadomość z Bejse, że regiment austriacki rozłożył się na spoczynek w jego dobrach, pośpieszyliśmy więc do Bejse, i zastaliśmy pułkownika austriackiego, stojącego kwarterą na folwarku, a żołnierzy i oficerów, rozłożonych po wsiach. Badeni ofiarował pułkownikowi

kwaterę, w pałacu nie chciał przyjąć, przychodził tylko z oficerami przez parę dni na obiad, i to zaproszony. Odpocząwszy, ruszył ku Galicyi. Zabawiwszy kilka dni w Bejsceach, powróciliśmy do Krakowa, z kąd już książę Józef, zebrawszy swoje siły, do 18,000 ludzi wynoszące, zabierał się do marszu ku Śląskowi, umówiwszy z rządem austryackim etapy, i postępując drogą, któraby go doprowadziła do Napoleona, dążącego z nowemi kohortami na spotkanie nieprzyjaciela. Rada więc konfederacyi, zalimitowawszy swoje czynności, rozjechała się.— Członkowie jej udali się w różne strony. Pan Zamojski, jako wiceprezes, mając sobie zakazany od rządu austrackiego wstęp do Galicyi, udać się nie mógł do Sieniawy, Badeni wyjechał do Kameszniccy, dóbr swoich, które w Galicyi posiadał w górach. Ja z kancelaryą i jej rejentem panem Rozwodowskim, teraz kanonikiem krakowskim udałem się do Wieliczki, gdzie mieszkał przy żupach solnych komisarz polski Wiesiołowski, słuszny i oświecony człowiek, dziedzic Wojsławia, mający za sobą wnuczkę kasztelanowej połanieckiej, związany zenną przyjaznemi stosunkami od Lublina. Zabawiwszy kilka dni w Wieliczce i powierzwszy mu akta konfederacyi wyjechałem dalej. Co się z temi aktami stało powiedzieć nie umiem, nie widziałem się odtąd ani z p. Wiesiołowskim, ani z księdzem Rozwodowskim. Zdaje mi się, że umieszczone zostały jako depozyt w klasztorze OO. Kapucynów, czy Reformatów w Wieliczce. Wielką byłoby szkoda, gdyby zaginęły. Były między niemi prócz akcesów książąt niemieckich, próśb o indygenaty, ważne pi-

sma. Był oryginalny list księcia Metternicha do marszałka konfederacyi księcia generała Czartoryskiego, akredytujący pana Bauma, jako rezydenta dworu austryackiego przy konfederacyi Królestwa Polskiego, z podpisem na kopercie: *A son Altesse le prince Czartoryski, marechal de la confédération du Royaume de Pologne*, co było wyraźnem powstającego królestwa potwierdzeniem. Był tam także protokół wszystkich czynności konfederacyi mają ręką pisany, w którym odbijały się, jak w zwierciadle osoby i charaktery ich, szczególnie członków, konfederacyę generalną składających. Przypomniałem odzyskanie tych akt z Galicyi p. Zamojskiemu, Wężykowi, Badeniemu, ani się dowiedzieć mogłem, co się z niemi stało.

Pomnę, że na samym wyjeździe z Krakowa do Galicyi, gdy przyszedłem do rezydenta przy Radzie konfederacyi Bauma o paszport dla siebie i kancelaryi, jako mój jeszcze z Lublina dawny znajomy wszedł ze mną w rozmowę, o nieszczęśliwej wyprawie rosyjskiej Napoleona. Gdy mu rzuciłem kwestyę, że Napoleon jeszcze jest w stanie szkody powetować i wrócić do dawnej przewagi, a chociażby mu się i dalej nie wiodło, Austria nie da upaść swojemu zięciowi, odpowiedział: „Nie bylibyśmy w stanie go obronić, nadto są ludy i Niemiecy książęta rozjątrzeni przeciw niemu, a i Francya może mu się przemieszanie”. „Ale—rzekłem—Austria za pomoc mogłaby wiele zyskać, mogłaby Śląsk utraczony posiadać, i może jeszcze inne korzyści otrzymać”. — „Jakież?—zapytał—on nam Włoch nie odda, ani Belgii nie odstąpi z terytorjum Francyi”.—

„Ale — odpowiedziałem — mógłby co z Rosyi dać wszakże ma korony do rozdania.” „Jakie korony?” — zapytał pan Baum, — rzekłem:— „Polską, gdyby się który z arcy-książąt chciał ożenić z królewną saską dotąd infantką polską, czyżby to nie warto było wojnę o to prowadzić”?—Zamyślił się p. Baum, i rzekł potem: „Polacy nie lubią Niemców, nie byłiby kontenci z takiego układu”. — „Nie mniemaj pan — rzekłem — żeby Polacy mieli do Niemców, a szczególnie do dworu austriackiego inną nienawiść, jak tę, że się stali współnikami zagłady ich ojczyzny, niech się staną jej twórcami, a tak się do nich przywiążą, jak się przywiązali do Francuzów. Przytem nie ma u nas wstrętu do książąt domu Lotaryńskiego, będąc pod ich panowaniem lat kilkanaście poznaliśmy dobrze członków domu panującego, jak poddani nie doznaliśmy od nich żadnej krzywdy, są ludzcy, popularni, przytem Polsce i Polakom potrzeba króla wojownika, gdyby Napoleon zgodził się na wybór arcyksięcia Karola, rozumiem, że naród polski wolałby zostawać pod jego berłem, jak któregoś marszałka francuskiego”.

Baum zamyślił się. „Ale to jest tylko pańskie prywatne mniemanie, gdybyś mi to pan mówił imieniem Rady kontederacyi, mógłbym to donieść mojemu dworowi, a rozumiem, że to nie byłoby mu nieprzyjemnem”. Odpowiedziałem, że rozmowa nasza jest zupełnie prywatną nie urzędową, uprzedzać widoków Napoleona nam się nie godzi, aż do końca wojny oczekiwać będziemy rozstrzygnięcia naszych losów z całą wiernością dla jego doli i niedoli. Nie wiem, czy Baum doniósł tę rozmowę

swemu gabinetowi, lecz, bawiąc w Galicyi, uważałem wielką dla mnie uprzejmość urzędników, tak dalece, że gdy innych emigrantów podzierano, mnie ostrzegano w chwilach, w których się czasem zjeżdżali do mnie konfederaci, jak się mnie i im zachowywać przystało.

W dzień wymaszerowania księcia Józefa z Krakowa, gdy już sztab jego ruszał za nim, wydarzył się smutny wypadek. Pułkownik Benet, będący przy generale Hebdowskim, żołnierz dzielny i w całej sile wieku, gdy dosiadł konia, ten go uniósł pod drzewo, w które nieszczęśliwy pułkownik tak mocno głową uderzył, iż na miejscu bez duszy został. Po tej okropnej scenie, pożegnawszy się ze znajomymi oficerami, i zabawiwszy dni kilka w Wieliczce, jak wyżej opisałem, udałem się w drogę moją. W Galicyi obróciłem ją na Wojślawie do Dzikowa, do Jana hrabiego Tarnowskiego, mego od serca przyjaciela, który mnie zaprosił na mieszkanie do siebie, a sercem dobrego Polaka wszystkie swoje folwarki i wsie przeznaczył na umieszczenie i schronienie dla emigrujących współziomków.

**Wspomnienia z końca 1813 roku, z 1814 roku
i początku 1815.**

W podróży mojej do Dzikowa z Pilzna udałem się do Jaworza, do Kajetana Bobrownickiego, spowinowaconego ze mną przez mego rodzonego siostrzeńca, Andrzeja Bobrownickiego zięcia jego. Tam zastałem wiele osób z mojej rodziny, siostrę moją z córkami, także emigrującą. Zatrzymano mnie przez dwa przeszło tygodnie. W tym domu wsławionym z gościnności i ciągle odwiedzanym, poznałem wielu Galicyanów. Nakoniec na Dębicę udałem się do Dzikowa. Dzików jest małym miasteczkiem w nader przyjemnem położeniu, ma kościół i klasztor księży Dominikanów, fundacyi Tarnowskich. W bliskości wznosi się pałac ze ślicznym widokiem na Wisłę i rozległe włości, do klucza dzikowskiego należące. Z okien pałacu widać Sandomierz z jego kościołami i klasztorami, piękniejszy zdaleka, jak zblizka. Pałac otaczają piękne ogrody i kanały, oranżerya i klomby z drzew i plant rozmaitych

swojskich i zagranicznych. Jan Tarnowski, wielki i namiętny znawca i miłośnik zielnictwa, założył te ogrody, które matka jego, Czacka z domu, dzieląc smak syna pielęgnowała; już podeszła wiekiem, mieszkała w pałacu dzikowskim. Otoczona młodą rodziną, miłością, czcią, uszanowaniem najstarszego syna Jana, który jako nieodrodny siostrzeniec wuja swego, Tadeusza Czackiego, prawie wyrównał mu poświęceniem, nauką i miłością literatury krajowej.

Nie będąc się nad nim rozpisywał, kto chce wiedzieć dokładnie kto był Jan Tarnowski, niech przeczyta żywot jego po nieodżałowanej dla mnie śmierci jego, skreślony przezemnie. Zastałem w Dzikowie liczną i nader piękną bibliotekę, tak narodową, jak w starożytnych i nowoczesnych językach, rzadkie edycye, zbiory obrazów najpierwszych mistrzów i rozmaite pomniki kunsztów, a nadewszystko zastałem w Tarnowskim przyjaciela, towarzysza, gospodarza uprzejmego i wylanego, który przedemną te skarby otworzył i używać ich dozwolił, łączyły nas jednakowe uczucia, jednakowe wyobrażenia, jednakie przekonania, jedna ufnosć w sobie, i koleżeństwo w ojczyznej sprawie, i może niejaki a jednakie dla kraju ofiary i zasługi. Na te chwile podówczas bolesnego zawodu politycznych nadziei, dręczącej niepewności i obawy, napotkanie takiego domu, towarzystwo takiego gospodarza, stało się dla mnie prawdziwem dobrodziejstwem nieba, pomocą i wspólną nam obu ulgą. On od młodości próbując pióra w poezyi i innych rodzajach literatury krajowej, właśnie wtedy już rzucał na papier pierwsze rysy historii elekcji i panowania Henry-

ka Walezyusza, którą był na siebie w podziale prac Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jako dopełnić mających historii Naruszewicza przyjął i do której materiały nie tylko miał sobie dostarczone z biblioteki wuja Tadeusza Czackiego, lecz sam troskliwie je zebrał z biblioteki watykańskiej, a zwłaszcza z korespondencyi Kommendoniego legata, w czasie podróży z teściem swoim na Włoszech. Czytywał mi więc, co już napisał, i pytał się o zdanie, acz mniej biegłego od siebie w nauce historycznej, lecz nieco starszego wiekiem, bo nie miał w sobie tej zarzuceniałości tak wkorzonej dzisiaj w młodzież naszą, tej pretensyi monopolium talentu i rozumu, tego lekceważenia innych, cechy prawdziwej niewiedomości i głupoty. Im więcej umiał, tem był skromniejszy, u drugich acz mniej umięających potwierdzenia swoich prac szukał, wiedział, że czasem mniej umięający mogą mieć więcej trafności w sądzie, którym nie zawsze uczeni pedanci celują. Przyjął więc moją radę, aby drobnymi szczegółami nie obciążał głównego tekstu, te bowiem przeszkadzają jednostajności i godności historycznego stylu, lecz aby je w przypiskach umieścił. Ta szacowna praca jego dotąd spoczywa ze szkodą literatury w archiwum dzikowskiem, bo dobry pisarz i znający powołanie historyka, ciągle pracował, z wydawaniem się nie śpieszył. W częstych naszych rozmowach o literaturze klasycznej, gdyż romantyczna ledwie co zazierać do nas zaczęła, wielki miłośnik Horacyusza i Wirgiliusza zachęcał mnie do ukończenia Ziemiaństwa, którego znał kilka ustępów, i wspierał mnie radami, namawiał do tłumaczenia Eneidy

Virgiliusza, której wyborny przekład zaczął i zawiódł Molski, lub Bukolików jego. Przekład tych ostatnich przez Józefa Lipińskiego, wiernego i smakownego wierszopisza, nie znajdował zupełnie odpowiadającym poetycznym obrazom starożytnego pisarza, a że ja moje rozpoczęte Ziemiaństwo i z niem inne pisma moje zostawiłem w Warszawie w depozycie, a on znał moje tłumaczenie Eklogi na urodzenie króla rzymskiego, drukowane w gazetach warszawskich, zachęcał mnie przeto, abym wśród wiejskich i pasterskich obrazów nad Wisłą, przekładem tych eklog rozrywał tęskne czasy i niespokojne myśli tułactwa, i dostarczył mi wybornych tak w języku łacińskim, jak we francuskim edycyi. Gdy mu zarzucałem, że mamy tłumaczenie Nagurczewskiego wierne, acz liche, a Lipińskiego zbliża się do oryginału, rzekł mi, „że nie można mieć dość licznych tłumaczeń klasyków, gdyż tylko liczne tłumaczenia przez różne zdolności talenta i pióra mogą nas zbliżyć do dokładnego, a może i do doskonałego; temu się jedno, innemu drugie, trzeciemu trzecie uda szczęśliwie i dosłownie oddać, dlatego Francuzi, Anglicy, Niemcy mimo licznych przez najcelniejsze pióra dokonanych tłumaczeń, ciągle tłumaczą. Nasz język przez swoją budowę i zwięzłość najsposobniejszym jest do wydania tekstów łacińskich prozą i wierszem, probuj, a choćby twoje tłumaczenie nie było jeszcze doskonałem „*et voluisse sat est*”. — „Wezmę się więc do tłumaczenia — odpowiedziałem — a za karę, że mnie tę pracę narzucasz, jeżeli skończę, przypiszę tobie, abyś się wstydził za mnie, jeżeli mi się nie powiedzie”. Jakoż skończyłem,

a chcąc jakkolwiek wydanie uczynić godnem przyjacielskiej ofiary, przedsięwziąłem mój przekład opatrzyć obszernemi literackimi przypiskami. Doprowadziłem te przypiski do szóstej eklogi, przerwały pracę okoliczności polityczne, zatrudnienia urzędowe, zobowiązanie się towarzystwu względem Zemiaństwa, i obawa zrobienia nieprzyjemności Józefowi Lipińskiemu, zacnemu, skromnemu i zdolnemu pisarzowi, którego szanowałem, i z którym zostawałem w zażyłości, a tak nie spełniłem oświadczenia uczynionego przyjacielowi, rachując na wiek przyszły i na swobodniejsze, a przynajmniej na zdawniejsze do literackiej pracy. Nadeszły znowu polityczne zatrudnienia, urzędowanie, koleżeństwo z Janem Tarnowskim w Radzie stanu, przeszkody do wydania tej pracy z przypiskami, w których można było różne podobieństwa i zastosowania do czasów niedalekich lub obecnych znaleźć, a szczególnie w przypiskach do eklogi pierwszej, w której położenie obydwóch pasterzy, jednego uchodzącego ze swojej dziedziny i tułacza, drugiego zostawionego w ojczyściej zagrodzie przez łaskawość Augusta, takim uderza podobieństwem do losów mieszkańców Polski po powstaniu Kościuszki, a które odbić i odmalować starałem się z całą swobodą nieuległego patriotyzmu. Te wszystkie przeszkody wzbronily wydania mego przekładu w czasach, w których już wszystkiego wyjawić, co się czuło, bez niebezpieczeństwa nie można było, a urzędnikowi nie godziło się. Chciałem się wziąć do przejrzenia tej pracy po ostatnich nieszczęśliwych wypadkach, miałem nadzieję, że jeszcze ujrzę Jana Tarnowskiego, odno-

wilem z nim korespondencyę, zasięgałem rady o zamierzonym poemacie Czarnieckiego. Niestety! zapadł w niebezpieczną chorobę, i wkrótce go śmierć wydarła krajowi, rodzinie, ziomkom, przyjaciółom, naukom i literaturze. Nie zostało mi więc, jak uczcić pamięć utraconego przyjaciela opisaniem jego żywota. Bukoliki jemu przeznaczone spoczywają w tece, poprawić je i przypiskami uzupełnić już w gąsnącym moim wieku nie mam nadziei. Może syn mój, lub wnuk, jeżeli jegodnemi uzna widoku publicznego, złoży je na grobie tego, któremu przeznaczone były.

Cztery blisko miesiące bawilem w domu Jana Tarnowskiego i sprowadziłem do siebie żonę z synem, która, tułając się pod opieką brata mego infulata, podówczas Zamoyskiego, zjechała do Chwałowie, do moich dawnych znajomych, państwa Wierzbickich. Tam zastała tłum emigrantów, a między nimi panią Zamoyską z dziećmi, gdyż lubo brat jej książę Adam, już był członkiem rządu tymczasowego, jej, jako córce marszałka konfederacyi i żonie wice prezesa, usunąć się wypadało, a do Galicyi wstęp sobie miała zabroniony. Dom Wierzbickich dawał wtedy dowody wielkiego patryotyzmu i ludzkości. Galicya cała te same objawiła uczucia. Po wszystkich domach obywatelskich, pełno było emigrantów, umieszczonych i z całą uprzejmością braterstwa podejmowanych, celował w tem Jan Tarnowski, wszystkie folwarki i domy dworskie przeznaczył na ich umieszczenie i swoją gościnnością obdzielał. Dla mnie z żoną przeznaczył folwark Trzeźnię, gdzie był dom wygodny, ogrodami otoczo-

ny, o milę od Dzikowa, w którym wprzód sam po ożenieniu mieszkał, ale, że pani Sewerynowa Potocka, zjechawszy z trzema córkami, nie miała gdzie się pomieścić wygodnie, przez wzgląd na kobiety, ustąpiłem jej tego domu, a sam przyjąłem mieszkanie w Wielowsi, bliższej Dzikowa wprzód dla niej przeznaczonej, czego później o mało co wielką katastrofą nie przepłaciłem. W Wielowsi był dom wielki, drewniany, starożytny, od trzechset lat blisko postawiony, ale opustoszały. W nim Zygmunt I podczas powietrza grasującego w Krakowie, mieszkał jakiś czas z całym dworem, u jednego z przodków Jana Tarnowskiego; na boku była brama obszerna, sklepiona na przestrzał, a na jej wierzchu lamus z czterema oknami podobnie na przestrzał, w nim zaś sala wielka, przynajmniej 20 łokci kwadratu mająca. Przy bokach tego lamusu, z prawej strony była oficynka, o czterech izdebkach z sienią i w środku z kuchenką, po lewej stronie była stajnia na kilka koni i wozownia; opodal od tej budowli, lecz w widoku okien były obszerne zabudowania, tego znakomitego folwarku, stodoły, obory, szpi-chlerze wmurowane słupy, obok nich folwark dla ekonoma i czeladzi. Umieściłem się więc w powyższej małej oficynie przy lamusie z szczupłą moją rodziną. Tarnowski Jan często nas odwiedzał, często nocował, często bawił kilka dni, gdyż zajmował się gospodarstwem i wtenczas właśnie obwałowywał Wisłę i ubezpieczał od wylewu. Odwiedzali nas znajomi emigranci, szczególnie Sewerynowa Potocka. Wieś ta ma piękne ogrody, a raczej sady cieniste i obfite w owoce, które Jan Tarnowski roz-

mnazać lubił. Po tych sadach porobiono i pogracowano ścieżki, wybrano miejsca cieniste gdzie na obiady i podwieczorki w dni pogodne z przyjemnością zbieraliśmy się. Pani Sewerynowa Potocka uprzejma, zabawna i wesoła znając gust Jana Tarnowskiego, nieraz nam deklamowała sceny z tragedyi francuskich, w sposobie jakiego używali wielcy ówczesni dramatyczni artyści francuscy. Tak nam czas schodził w podsluchiwaniu ciągłym wiadomości o spodziewanem starciu się Napoleona z koalicją. Dążył on już pod Bautzen i Lützen; wieści przychodziły do nas różnemi drogami, przez korespondencye umyślne z Badenim, przez Rozwadowskiego, z którym zjechałem się na czas umówiony w Jaworzu u Bobrownickich, nakoniec dowiedzieliśmy się z radością o wygranej przez Napoleona bitwie, o nastąpieniem kilku-niedzielnem zawieszeniu broni i o rozpoczętych negocyacyach o pokój. Oczekując więc na rozstrzygnięcie losów naszych z niecierpliwością, czas ten tęskny przerywałem wycieczkami, to do Baranowa do Jana hr. Krasickiego, gdzieśmy u uprzejmego gospodarza przezierali manuskrypta biskupa warmińskiego, to do p. Michała Tarnowskiego, brata Jana, to do Jaworza do spowinowaconych zemną Bobrownickich, to nakoniec do Górek do wielkiej mojej przyjaciółki pani Karoliny Stryjeńskiej, to do Motycza do podstarostwa Wiercieńskich, gdzie mnie fetowano na św. Kajetan; to do Bohuszów, mieszkających blisko Jaworza, gdy to włóczęskie lecz znośne, bo braterską, staropolską gościannością uprzyjemnione życie, przerwała okropna i niepamiętna niesłychanego wylewu Wisły kata-

strofa. Już od kilku dni, około 15 sierpnia lejące jak to mówią, jak z cebra deszcze zatrzymały nas w Wielowsi, do której na odwiedzinę nas zjechał był z Jaworza mój siostrzeniec, Jędrzej Bobrownieki, z młodą i piękną żoną i równie młodą, uroczą i wdziękami i umysłowem ukształceniem, siostrą Maryanną Bobrownicką, wydaną później za Ksawerego Skrzyńskiego, a więc matką mojej synowej. Umieścili się więc nasi goście, w owym lamusie na piętrze. Jan Tarnowski, zawsze uprzejmy dla pleci pięknej, wiedząc, że moja siostrzenica Maryanna lubi literaturę, przywiózł jej najpiękniejsze edycje dzieł celniejszych, różne sztychy i rysunki, na których się znała i właśnie parę dni bawił w Wielowsi, wstrzymany deszczem. Zgromadziliśmy się powszechnie na czytanie do owej sali w lamusie i jednego dnia rozeszliśmy się późno na spokojny sen, lubo już w wigilią, że spokojnym nie będzie, mieliśmy przestrogi. Po obiedzie albowiem wyszedłszy na spacer, usłyszeliśmy nagły ryk wody, podobny do wystrzału kilkunastu armat, było to około godziny czwartej po obiedzie. Nie wyszło godziny gdy nam z plebanii dano znać, może o kilkaset kroków oddalonej, że woda zabiera pola i do plebanii się zbliża. Pośpieszyliśmy więc do proboszcza, którym był dominikan, człowiek gospodarny, lubiący ogród, mający obfitość wybornych owoców, a szczególnie znawca wina, które z Węgier sprowadzał i miał piwnicę już wytrawnemi winami napełnioną. Zastaliśmy go w wielkim kłopotcie i krzątaniu się około swego domu, a szczególnie około piwnicy, ażeby woda, która już przez ogród do domu zbliżyła się

nie zalała jej. Zaledwieśmy tam chwilę pozostali już ujrzeliśmy nagle przybierającą wodę i odcinającą nas strugami od naszego mieszkania, zaczęliśmy żywym krokiem pośpieszać ku niemu, lecz woda tak szybko przybierała, iż już na ścieżkach strugi, mijać lub przeskakiwać musieliśmy. Przestraszone kobiety uciekały na suche miejsca, już nie bez zamoczenia trzewików. Mieszkanie nasze, place, ogrody, zastaliśmy jeszcze suche. Wyszedłem przed zachodem słońca z Janem Tarnowskim do ogrodu dla przypatrzenia się i zmierzenia przybierającej wody, a gdy w kwandras na kilka cali przybrała i przysunęła się płaszczyzną pod samo wzgórze sadu, uczyniłem Tarnowskiemu pytanie, czy bezpieczni jesteśmy od zalania budynków, rozśmiał się z mojej troskliwości, mówiąc:— „Bywały tu wielkie wylewy, są tu starzy ludzie, którzy o nadzwyczajnych od ojców i dziadów słyszeli, od wieków, nigdy woda nie nawiedziła tego dziedzińca i ten wzgórek jest to jej granica, *non ibis amplius*”. „Kaź jednak”, rzekłem: — „kilku stróżom strzedz w nocy, aby nas na przypadek mocniejszego wylewu obudzili ze snu, żeby nas nie podchwyciła?”; „nie trzeba tej ostrożności”, odrzekł— „ale dla twojej spokojności kaź dać wartowników”. Tymczasem woda pod ogrody napędziła tysiące gęsi, kaczek, z różnych już zalanych włości, które wir wody niósł pod wzgórek sadu. Służący nasi obojętni na cudze nieszczęście, zamiast przygarniać to ptastwo dla oddania go właścicielom, uzbroili się w kije i z największą radością i uciechą zabijać je zaczęli i wydobywać z wody, uważając je jako dobrą zdobycz. Ledwie-

śmy ich zakazem i surowem łajaniem wstrzymali; tak to nieszczęścia jednych obracają się często na korzyść bezsumiennych i chciwych. Położyliśmy się więc spać pod zaręczeniem bezpieczeństwa. Wśród pierwosnu usłyszeliśmy krzyk w alkierzu, garderobianej mojej żony, Niemki już nie młodej:— „O Herr Jesus! Herr Jesus!” i plusk po wodzie. Woda z Wisły przebrała wzgórek, przez szpary w ścianach zaczęła zabierać alkierz, porwaliśmy się ze snu, a skoro świecę przyniesiono już trzeba było z rzeczami i z pościelą uciekać na stoły, a samym po kładce zamoczonej, przebierać się do lamusa. Tam wpada furman i woła, że się konie w stajni kąpią, trzeba było jaknajprędzej je wyprowadzać i uchodzić z nimi ku folwarkowi, na miejsca jeszcze nie zalane. Lecz fornale, dosiadłszy koni, już po brzuchy brodzili, a pod folwarkiem jedną nizinę ledwie wplaw przebyli. Przy rozjaśnieniu się dnia, jakież widok istnego potopu otworzył się przed naszymi oczami. Zapieniona i rycząca Wisła niosła domy, młyny podchwycone wraz z ludźmi, którzy próżno wyciągali ręce o ratunek, niosła drzewa z korzeniem wyrwane, stogi i kopy siana i zboża, a na nich zwierzęta szczególniejszające, zgoła widzieliśmy prawdziwy potop i przypomnieliśmy sobie owe wiersze Horacego, o wylewie Tybru.

Fiscium et summa genus haesit ulmo,
 Nota quae sedes fuerat columbis,
 Et superjecto pavidae natarunt
 Aequare damae.

Patrząc na ten okropny obraz z politowaniem i ubolewaniem nad nieszczęśliwymi ofiarami, nie

znaliśmy naszego własnego niebezpieczeństwa, które co chwila mogło się otworzyć pod naszymi nogami. Woda już się przelewała przez bramę, na której był lamus, podlizywała fundamenta jego i to schronienie nasze mogło niespodzianie wraz z nami runąć i gruzami nas przywalić. Pan Michał Tarnowski, brat Jana, niespokojny o niego i o nas i chcący uspokoić troskliwość matki o syna i syna o matkę, ponieważ Wisła nie wspięła się do wysokości wzgórza, na którym miasteczko Dzików i pałac stoi, wsiadł za ogrodem dzikowskim w krypę i częścią nurtem Wisły, częścią zalanemi przez nią polami, przyplął do Wielowsi, i za pędem wody pod sam lamus w bramę wjechał. Woda przybierała ciągle do godziny jedenastej i o tej godzinie stanęła w mierze i po trochu opadać zaczęła wieczorem. Ukazały się z pod niej pagórki na dziedzińcu, aż na koniec i z bramy ustąpiła. Minał wylew, niebezpieczeństwo zavalenia się lamusa nie minęło, ale wyprowadzić się z niego nie było gdzie, bo domy przy nim mułem były napełnione. Spokojny Jan Tarnowski o siebie, o matkę i o nas troskał się, o panią Sewerynową Potocką, zalaną w Trześni, nie mniej był troskliwy o swoją wiejską ludność, z pod dachów tylko wyzierającą głowami i od 24 godzin zgłodniałą. Rozkazał przez noc napiec kilkaset bułek chleba, i rano krypą zabrawszy ten zapas wybrał się do Trześni z doświadczonymi przewoźnikami, o których nad Wisłą nie trudno. Zachęcił i mnie do tej z sobą żeglugi, do której przyłączył się mój siostrzeniec Bobrownicki i dwóch służących z tykami, dla podawania pod dachy chleba zgłodniałym. Nie nurtem

Wisły, lecz polami wprost, częścią wiosłami, czasem linami przez przewoźników ciągnięni dostaliśmy się do Trześni i wpłynęliśmy do wsi, przybijając do każdej chałupy i podając chleb na tykach wyzierałym z pod dachu, a dowiedziawszy się, że dziedzińiec dworski nie został zalany, przybiliśmy do bramy. Zastaliśmy panią Sewerynową Potocką, zastraszoną, pełno ludzi ze wsi na dziedzińcu, których będących na robocie, woda od siedzib odcięła. Ledwieśmy opowiedzieli sobie wzajemne niebezpieczeństwa, z okien może o pięćset kroków za wodą spostrzegliśmy z pod strzechy wyglądające głowy i główki. Gospodarz tej rodziny znajdował się na dziedzińcu, wsadzamy go więc na krypę, dajemy przewoźników i wyprawiamy go po żonę i dzieci. Widzieliśmy jak na jego przybycie głowy się pokryły i spodziewaliśmy się, że ujrzymy jego rodzinę lecz krypa przybiła do naszego brzegu i znowu się na powrót puściła ku chałupie; pytamy, co to znaczy, odpowiadają, że żonę i dzieci zostawił, a przywiózł krowę i ciele, przybija po raz drugi i przywozi trzy świnię. Zamyślał jechać po prosięta i kury, gdy go przytrzymało we dworze, a sami przewoźnicy popłynęli i przywieźli zgłodniałą żonę i dzieci. Taka jest czasem obojętność w ciemnym ludzie. Droższymi są niekiedy dla niego przedmioty brzucha, niż serca. Ponieważ słońce się już nachyliło, a woda opadała, potrzeba było śpiesznie wracać. Księżyc przecież świecił, lecz już nie można było opuścić się tym szlakiem, trzeba było głębsze miejsca wybierać, żeglowali więc wiosłami, lub ciągnęli nas przewoźnicy linami, a często dla płytko-

ści wody przymuszeni byli przeciągać nas przez wyrwy w wale, z warem wody lub pod wodę. Na jednej z takowych przerw, war i pęd wody wepchnął krypę, między groble i na cieśni osadził, że bezskutecznie rękami i wiosłami spychana, pękła i zdawała się przełamywać. Wyskoczyliśmy na wał, lecz częste w nim przerwy nie dozwalały dalej postąpić. Krypa zaczęła pić wodę, straciliśmy nadzieję powrotu do domu, do którego było jeszcze daleko. Przewoźnicy rzucili się do zatykania dziur workami, w których chleby przewieźliśmy, sukmanami i szmatami, z których się obnażali, nakoniec, utkawszy dziury, zepchnęli krypę ze sterczącego grzbietu przerwanego wału, dociągnęli ją do nas, ale w nocy jakie było niebezpieczeństwo powierzać się warowi Wisły, jaka niepewność czy nie przyjdzie brnąć pieszo po spokojniejszej na płaszczyźnie wodzie, pod którą mogły być przepaści, tak przeniesieni na barkach przewoźników po przerwach, lub ciągnięni po płaszczyźnie przybyliśmy ledwie o północy pod folwark Wielowśi, dziękując Bogu, że nas wyrwał z widocznego niebezpieczeństwa. Gdy się stawiliśmy przed naszą zasnuconą i troskliwą rodziną, ta nas z łzami, jakby wróconych z tamtego świata powitała, a na opowiadanie nasze bladła od strachu.

Nie można było dłużej bawić w Wielowśi, gdy woda spadła, ogarnęły całą rozległą atmosferę tak nieznośne, niezdrowe i cuchnące wyziewy błot, zgnilizny zbóż po gumnach, trupów ludzi, koni, bydła po polach, że trzeba było jak z zapowietrzonego miejsca uciekać. Wyjechaliśmy więc, a raczej prze-

babrali się po błotach do Dzikowa, gdzie mi ofiarowali wygodne mieszkanie księża Dominikanie w klasztorze swoim. Zabawiwszy tam dni kilkanaście, po odebranych wiadomościach z kraju o zupełnej w niem spokojności i bezpieczeństwie, puściłem się w podróż na Motycz do Chwałowie na granicę i komorę, po trudnych do przebycia błotach i trzęsawach wylewem sprawionych. Zaeni Wierzbicy, znużonych niewygodną podróżą przyjęli otwartym sercem i domem i do podeschnięcia drogi przez dni kilka zatrzymali. W końcu więc września przebyłem granicę i w Kraśniku spoczawszy u podprefekta powiatu kraśnickiego, Bielskiego Ignacego, spowinowaczonego z moją rodziną i powziąwszy od niego wiadomość o łagodnem postępowaniu i wojsk cesarskich i rządu nowo-wprowadzonego przez cesarza Aleksandra, lubo jeszcze Zamość, Modlin i Gdańsk w oblężeniu trzymane były, stanąłem szczęśliwie w mojej wiosce, której od dwóch lat nie widziałem. Piotrowice, mieszkanie moje wystawione były jako bliższe Lublina, na częste przechody wojsk, na zmieniające się kwatery i na częste nagabanie władz wojskowych. Chcąc uniknąć towarzyszających im nieprzyjemności, obrałem na niejaki czas mieszkanie w Bystrzycy, w folwarku niepoczesnym, przez ekonoma mego zamieszkałym, który na prędko wyczyszczono; w kilku więc izdebkach umieściłem się z moją małą rodziną z żoną, z synem, z jedną służącą i z lokajem; aby niejako utaić mój powrót i uniknąć obowiązku przedstawienia się władzom administracyjnym i wojskowym, których widok nie mógł być mi przyjemnym, ani

mój im, po tylu proklamacyach w zapale, wśród wiary w nową przyszłość kraju, tak srodze teraz zawiedziona i z obowiązku urzędu mego pisanych. Jakoż doświadczyłem widocznej niechęci i upokorzenia przy pierwszym przedstawieniu się osobom, władze wojewódzkie składającym i uważałem, że mimo najwyraźniejszych rozkazów cesarza Aleksandra, obchodzenia się uprzemem braterstwem z Polakami, jakiegokolwiek opinii będącymi, uraza i nienawiść ku swoim pokonanym nieprzyjaciolom, w urzędnikach niższych stopni, jawnie się objawiała, postępując wyżej szczeblami w miarę wychowania, oświecenia i większego zbliżenia się do tronu cesarza, widocznie słabła, często nikła i przeradzała się nie tylko w wyrozumienie, ale w chęci i oznaki braterstwa *regis ad exemplum*. I tak w domu brata mego, infułata Zamoyskiego w Sułowie, poznałem się z generałem Rot, który trzymał w oblężeniu Zamość, był to człowiek dobrze wychowany, towarzyski i jak to mówią hulaszczy; gdy brat mój w poufałości poznając mnie z nim, rzekł—„Brat mój nie dokuczał wam orężem ale piórem”. „Robił swoją powinność”, odpowiedział generał—„tak ja strzelam do generała Hauke, chociaż go z męstwa szacuję. Cesarz nas to sprawi, że ci, co nas nienawidzili, braćmi nam będą”. Inaczej myślał pan Czerkasów, gubernator wojenny Lublina, inaczej kadeci z szkoły petersburskiej, których młoda, a tem nieznośniejsza pycha szczególnie po powrocie z Francji czuła się dotkliwie dawała. Wymagania ich i obchodzenie się z osobami, które w zwalczonym rządzie miały jakieś znaczenie, były dokuczliwe. Pamiętam, że

później, bo już po zajęciu Paryża przez wojska sprzymierzone, przypatrywałem się raz przed bramą przechodzącemu szwadronowi i przywitawszy oficera porucznika, na przodzie jadącego, uchylem kapelusza, zapytałem się:—„zkaąd panowie maszerują?—Odpowiedział mi z dumą z „Paryża”, chociaż dowiedziałem się, że ten szwadron, zostawiony w Księstwie Warszawskim, na garnizonie nie wyszedł za jego granice.

Skoro się usadowiłem na folwarku w Bystrzycy, brat mój infulat zamojski pośpieszył mnie odwiedzić z wiadomością, że księżna generalowa Czartoryska zjechała do Puław wraz z p. Zamoyską i z księżną Wirtemberską, i że syn jej, książę Adam, uchylając się od uprzykrzeń szukających jego protekcji to w Warszawie to w Puławach, usunął się do Zakrzówka, dóbr między lasami położonych blizkich wiosek moich i moich braci, i tam samotnie bawił. Zachęcił więc mnie, abyśmy go odwiedzili. Przyjął nas radośnie i z uprzejmem sercem. Zastaliśmy przy nim jego od serca przyjaciela, wychowanka Puław, generała Krópińskiego. Zatrzymał nas książę parę dni, był wesoły i pełen nadziei, niekiedy jednak nie bez niespokojności; rozmawiał z nami obszernie i otwarcie o przyszłości z niezachwianem przekonaniem o najlepszych chęciach i usposobieniu cesarza Aleksandra. Jak je spełni? czy spełni? wszystko zależnem mniemał od układów lub dalszego powodzenia oręża. Wypytywał się o Księstwo Warszawskie, o jego instytucje, o osoby rząd jego składające, jakby chciał zbierać wiadomości do przyszłego nowego rządu Polski,

przy spodziewanem jej stworzeniu. Wypytywał się o talenta, zdolności i nauki osób. Tego rodzaju rozmowy prowadziliśmy z nim na przechadzkach i w domu jego przy lulkach. Lubo jest mało mówiący i w sobie zamknięty, opowiadał nam całe życie swoje w Petersburgu od czasu, jak dodany został przez cesarzową Katarzynę II do boku wnuka jej, cesarza Aleksandra, bo nie tał trudności swego położenia; udzielił nam szczegółów śmierci Katarzyny, wstąpienia na tron Pawła, bawienia w Petersburgu króla Stanisława Augusta i zgonu jego, wiele ciekawych anegdot z krótkiego panowania Pawła, tak niebezpiecznego dla dworaków. O cesarzu Aleksandrze mówił z uwielbieniem jego serca i charakteru, jakby chciał nas natchnąć ufnością i nadzieją w jego osobie. Wieczorem czytywał nam Krópiński swój romans na wzór „Heloizy” Russa, napisanej w listach pod tytułem: „Julia i Adolf”, czytywał i bajki i wiersze ulotne. Książę w sądzie i w pochwałach szedł raczej za uczuciem przyjaźni dla autora, chociaż jako uczony znał zapewne słabe strony tych utworów. Wśród rozmowy książę mnie zagadał: „Masz, słyszę, jakiś starożytny zamek w swej wiosce”. Opisałem mu go, jako nie wiele zasługuje na uwagę ani pod względem architektonicznym ani historycznym, murowany jako mała obronna forteczka przeciw Tatarom z basztami, kamizadami podziemnymi, nad rzeką Bystrzycą na wzgórzu, częściami wznoszony, niema pewnego charakteru, dziś jest w połowie ruiną, w połowie mieszkalny. Po płaskorzeźbach i w nich orłach z snopkami na piersiach widać, że był kończony przez

Gorajskich, szczególnie przez Zbigniewa, kasztelana chełmskiego, za panowania Wazów. Ten, po dekrete za Jana Kazimierza, wydanym przeciw Arianom, wyniósł się z kraju, a dobra swoje od źródła Bystrzycy aż do Lublina sprzedał szlachecicowi Remigianowi z Kielczewic Kielczewskiemu, przodkowi memu z matki.—Na ten opis rzekł książę: „Ciekawym bardzo widzieć ten zamek i położenie, o którym mówią, że piękne”. „Nie przyjmę księcia jakbym chciał — odrzekłem — bo sam u siebie jakby w komornem, w lichym łożwarku mieszkam, lecz jeżeli książę przyjmiesz mały obiadek w tych rudkach, uszczęśliwisz mnie”. Umówił się więc książę z Krópińskim o dzień i zjechał, bawił aż do późnego wieczora, chodził po gajach i łąkach i zapytał mnie, czy się nie udam do Warszawy — „jedź — rzekł do mnie — i oddaj proszę wizytę Nowosilcowowi”. „Ale, Mości książę, jakże ja zajrzę w oczy ministrowi cesarza, Rosyaninowi, ja, który tyle pisałem przeciw Rosyi proklamacyi ostrych, on to weźmie za bezczelność i podłość. Ja nie jestem z liczby tych, którzy się przerzucają za wskazówką fortuny, dla jakichś osobistych widoków, mój zawód już się skończył, powtórzę sobie wiersz Hulewicza:

Już się skończyła ojezyny posługa,
Pójdźmy, o bracia! od krzesel do pluga”.

„Jakto? — rzekł książę — tobyś się usunął od publicznego życia, gdyby za zrządzeniem szczęśliwych okoliczności Polska z rąk cesarza Aleksandra

powstała? O niechże Bóg ochroni ten kraj od tylu lat nieszczęśliwy, od tej największej klęski, aby się ucziwi ludzie w chwili, w której najwięcej mogą mu być użyteczni, wyrzekali się go dlatego, że nie z tej, z której życzyli sobie, lecz z innej powstaje strony. To byłoby nieprzebaczonem partyzanctwem, które tyle złego sprawiło w politycznym życiu naszym. Czy nas już przez to weźmiesz za złych Polaków, żeśmy przestali wierzyć w gwiazdę Napoleona?" „Nie, Mości książę, książę dałeś dowody, że Polskę nad wszystko kochasz. O Polsce marzyłeś w Petersburgu, przez Polskę cesarza Aleksandra pokochałeś. Ta Polska, ogłoszona przez Napoleona wzywała cię, przecież nie chciałeś stanąć przeciw temu, który cię temi chęciami, dla niej objawionemi, ujął i zobowiązał; nie chciałeś tem więcej, że był niebezpieczeństwem zagrożony, lękałeś się skazić tę przyjaźń dla tego monarchy, który ci jak przyjacielowi ufał. Ale nie wszyscy, cośmy losy nasze do Napoleona przywiązali, jesteśmy w tem położeniu, w jakim byłeś książę, gdy się Napoleonowi szczęściło. Przy tem się losy jeszcze ostatecznie nie rozstrzygły. Nietylko aktem konfederacyi związani jesteśmy, ale i przysięgą dla króla saskiego. Wojska jeszcze nasze walczą przy Napoleonie, powinniśmy dzielić los króla naszego. Co on robi z sobą, na to czekać powinniśmy z spokojnością. Skwapliwość byłaby tu albo płochością, albo podością." „Masz słusność we wszystkim — odpowiedział książę — ale czyśmy się jeszcze nie przekonali, że Napoleon nigdy szczerze nie myślał o stworzeniu Polski, że jej dziś stworzyć nie mógł-

by choćby chciał, i że tam się łączyć trzeba, z kąd powstaje nadzieja jej odbudowania. Trzeba przecież, żeby cesarz widział, że się prawi Polacy garną do niego. Wojsko ma obowiązki wierności chorągwi, którą cesarz Aleksander oceni, inaczej się rzecz ma z obywatelstwem. Skoro wróciłeś do kraju, nie ubliżysz sobie, że się zapoznasz z osobami, na czele rządu stojącymi". Gdy mi książę wspominał o Nowosilcowie, zapytałem go „czyli książę pewny jesteś przychylności jego dla sprawy Polski"? rzekł mi: „tak, pewny jestem, jak siebie samego" i dodał (co mnie niezmiernie zastanowiło) „daj Boże, abyśmy między Polakami wszystkimi bez wyjątku znajdowali tak przychylnych i gorliwych popieraczyw Polski". Te wyrazy księcia wbiły mi się w pamięć i często w twardych późniejszych okolicznościach, które ówczesnemu mniemaniu księcia tak głośno i tak boleśnie zaprzeczały, wracały mi na myśl. Ile książę cierpieć musiał, widząc, że się omylił w swoim przekonaniu o ludziach i o rzeczy.

W parę niedziel wyjechałem do Warszawy, pod Górą spotkałem się z księciem Konstantym Czartoryskim. Wyskoczyliśmy z pojazdów, książę zasmucony rzekł do mnie: „Nie wiesz okropnego nieszczęścia, bitwa pod Lipskiem przegrana, książę Józef utonął w Elsterze, Napoleon cofa się ku Renowi, a raczej przeryna się przez niemieckie wojska, które go odstępily i przecinają mu drogę". Jakby uderzony piorunem, zanieniałem; po wzajemnem wynurzeniu naszej boleści, opowiedziałem księciu Konstantemu wiadomości o bracie i o Puławach

i pośpieszyłem do Warszawy, którą w najgłębszem zasmuceniu zastałem. Udałem się zaraz do Linowskiego, przyjął mnie z załamaniem rąk mówiąc: „ostatnia gwiazda Polski zgasła”. W rozmowie z nim spostrzegłem, że już bardzo nachylił się ku wyjawiającemu się nowemu porządkowi rzeczy i że już ku znaczeniu miał otwartą przed sobą drogę. Obszedłem po kolei wszystkich moich przyjaciół i znajomych: Ostrowskiego, prezesa senatu, Woronicza, Kochanowskiego, Staszica i innych, a gdy w jednych spostrzegłem rezygnacją, w wielu usposobienie do chwycenia się nowych nadziei. Ukończywszy moje prywatne interesy w Warszawie, wróciłem do domu i całą zimę przepędziłem, poświęcając się wychowaniu syna i rozrywając się polowaniem. W tym przeciągu czasu już okoliczności polityczne pewny obrót wzięły. Koalicya weszła do Paryża, Napoleon zrzekł się tronu, odprawił Polaków, pożegnał i sam im wskazał drogę do cesarza Aleksandra, jako jedyne zbawcy Polski. Odmieniło się więc położenie wszystkich Polaków. Cesarz Aleksander w Paryżu zrobił oświadczenie stworzenia Polski i wszystkie serca polskie do siebie przyciągał. Gwardya Napoleońska pod dowództwem generała Wincentego Krasińskiego, całe wojsko, wszyscy emigranci polscy, jakiego bądź stopnia i urzędu, otoczyli go. Zesłał on do Warszawy brata do organizacyi wojska polskiego, wyznaczył w tym celu komitet, z najzasłużeńszych generałów złożony. Generał Krasiński przyprowadził szczytki wojska polskiego do Warszawy, po sławnem spotkaniu się w Puttbus z Prusakami, gdzie od rozja-

długo pospółstwa ledwie niezabity, ciężko raniony został. Zaczęli się zbierać na kongres do Wiednia monarchowie i pełnomocnicy wielkich i mniejszych mocarstw. Aleksander Batowski, będący podówczas w Paryżu, jak wiadomo, komisarz Napoleona przy utworzeniu Księstwa Warszawskiego, i ścisłemi związkami połączony z Talleyrandem, opowiadając mi z entuzjazmem i z uwielbieniem o cesarzu Aleksandrze, o jego znalezieniu się w Paryżu, o zapale Francuzów ku jego osobie, opisał mi przedstawienie się swoje cesarzowi. Cesarz, wiedząc że Batowski posiada majątek we Francyi i że chociaż z czucia był Polakiem, ze związków, z nawyknień i z zamieszkania, Francję przysposobił sobie za ojczyznę, zapytał go: „a WCPan, panie Batowski, co z sobą zamysłasz zrobić”? Odpowiedział: „Cieszyć się, Najjaśniejszy panie, pomyślnością mej ojczyzny, błogosławić potężną rękę, która ją z grobu dźwiga, i resztę życia przepędzić w spokojności we Francyi, z którą stosunkami memi związany jestem”. Cesarz mu na (powtórzę tu w francuskim języku, przytaczane mi przez Batowskiego, cesarskie słowa): „Monsieur Batowski, je vous invite de revenir en Pologne, vous y trouverez une place convenable à votre âge et à votre mérite. Croyez moi, il faut oublier pour toujours, tous les anciens préjugés, tous les griefs, toutes les haines. Vous aurez la Pologne tout entière, avec votre nationalité telle qu'elle a été anciennement. Vous aurez une constitution liberale, et des institutions nationales. J'aime votre nation, je l'estime, elle a supporté son malheur avec courage, honneur et loyauté. Votre cause est

sainte, mais la destinée s'est prononcéé contre vous. La Pologne indépendante dans l'état actuel de l'Europe serait un grand inconvenient en politique, mais la Pologne appuyée sur mon empire sera forte inattaquable et heureuse". Na te słowa, z taką wspólnością i szlachetnością wyrzeczone, Batowski wziął determinacją osiąść w Polsce, w niej życie zakończyć i oświadczył to Cesarzowi.

Gdy na wsi przesiadywałem, oczekując, jakie losy zgotowane zostaną nieszczęśliwej ojczyźnie, cesarz Aleksander jadąc na kongres wiedeński, zjechał do Puław, gdzie już na niego książę Adam, księżna generalowa, księżna Wirtemberska, i p.p. Zamoyscy czekali. Umówisz się z moim przyjacielem i sąsiadem Owidzkim, udaliśmy się tamże, w celu przełożenia księciu ucisków, pochodzących z konsystencyi zbyt licznego wojska w departamencie lubelskim, i proszenia go, aby jako członek tymczasowego rządu raczył wyjednać ulgę. Książę zatrzymał nas w Puławach, abyśmy nasze skargi przełożyli Nowosilcowowi, który miał zjechać na powitanie spodziewanego cesarza Aleksandra. Jakoż nie tylko z Warszawy zjechał Nowosilcow, lecz przybyło kilka osób, między nimi generał Wincenty Krasński, Aleksander Linowski, i prócz tego kilku obywateli z departamentu lubelskiego—Leon Dembowski, sekretarz prefektury lubelskiej, Władysław Tarnowski z Markuszewa, Tomasz Grabowski, brat mój starszy, Wincenty. Gdy nas książę zatrzymywał, oświadczyliśmy, że nie chcemy być natrętnymi podczas bytności cesarza, lecz on namawiał nas, aby pozostać, i obiecał przestrzedz Nowosilcowa, że za-

damy mu nasze przełożenia przedstawić. Wieczorem tego dnia nadjechał cesarz Aleksander, na przeciw któremu wyjeżdżał książę Adam. Wszyscy na spotkanie cesarza, mężczyźni i kobiety wyszli aż do schodów przysionka. Cesarz wyskoczywszy prawie z pojazdu, przywitał się czule z starą księżną Wirtemberską, i z p. Zamoyską. Spostrzegłszy p. Zamoyskiego, chwycił go za rękę i wstrząsnąwszy nią, przyjaźnie go przyjął. Wszyscy udali się na górę do apartamentów księżny na herbatę, inni goście i my z nimi zostaliśmy w salonach, i wkrótce potem wróciliśmy do naszych mieszkań. Nazajutrz rano wyszedłszy na przechadzkę do ogrodu spostrzegłem cesarza spacerującego w cywilnym ubiorze, to jest we fraku cynamonowym, w okrągłym kapeluszu na głowie. Zdawał się tłuściejszym, i mniej pięknym, jak w mundurze wojskowym, opiętym, który go obciskał. Na obiad zostaliśmy wszyscy zaproszeni, przed którym książę Adam przedstawił każdego z nas cesarzowi. Był on niezmiernie uprzejmy. Przy obiedzie wszyscyśmy siedzieli wraz z nim przy jednym stole gdyż tego wymagał. Cesarz zajął miejsce między księżną starą a księżną Wirtemberską. Stół był na 40 osób. Przy winie szampańskim książę Adam wniósł toast za zdrowie cesarza. Cesarz podniósł się i pił na cześć narodu polskiego. Wystawić sobie nie można, jak ten pan umiał sobie ujmować serca i ujął też je aż do entuzjazmu. W wieczór udaliśmy się do Nowosilcowa stojącego w oficynie; przedstawił nas książę, zagał nasze przełożenia i odszedł. Linowski już z Nowosilcowem w dobrych stosunkach będący,

pozostał, aby nasze proźby popierać, lecz naszym dawnym republikańskim zwyczajem, każdy chciał mówić i popisywać się z swoim rozumem przed ministrem, jeden drugiemu wydierał słowa, nakoniec taka się hałaśliwa wrzawa wszczęła, że Nowosilcow od komina, przy którym stał, gdy się ruszył odpowiadając i słuchając, przyparty został do okna. Linowski, Dębowski Józef, ojciec i ja, zostaliśmy w mileczeniu przy kominie. Linowski rzekł do mnie: „powiedz im niech się uciszą, niech jeden przełoży, bo Nowosilcow ich nie zrozumie, i nie nie sprawią”. Leon więc Dębowski rozsądny, zimny, i zdadności znakomitych człowiek w francuzkim języku przełożył prośby; Nowosilcow uprzejmie je przyjął, i wstawienie się do rządu przyrzekł. Wieczorem i on i Linowski wezwani zostali na herbatę w wybranem i szczerem gronie, a my udaliśmy się na spoczynek. Linowski rzekł do mnie, gdym wychodził: „Przyjdź do mnie rano, dziś ma być poufała rozmowa u cesarza, opowiem ci, czego się dowiem”. Rano więc zostawiwszy moich kolegów jeszcze we śnie, udałem się do Linowskiego, ten rzekł do mnie: „Wiedz, że książę Adam jedzie z cesarzem na kongres wiedeński, wołałbym, żeby Nowosilcow jechał; on tak jak książę przejęty jest potrzebą i koniecznością utworzenia Polski, lecz jako Rosyanin byłby nam pożyteczniejszym. Czego książę jako Polak nie będzie śmiał zrobić, onby zrobił, onby raczej wykroił wojnę Rosyi z całą koalicją, a niedozwoliby piędzi ziemi polskiej oderwać od Rosyi. Z wyższego on stanowiska uważa to wskrzeszenie Polski, ze stanowiska liberalnych instytucyi i swobód, które radby

aby Rosya od Polski przejęła. Książę zapewne ma większą ufność cesarza, lecz nie będzie miał tej energii i śmiałości. Ale ciekawym, kogo książę wezwie do swojej kancelaryi za pomocnika, żeby przynajmniej wybrał człowieka z tęgością charakteru i z talentem⁷. Nie wiem, czyli przez to siebie chciał oznaczyć, lecz gdy się dowiedział od księcia, że bierze z sobą Kalasantego Szaniawskiego, rzekł do mnie: „Otóż niezręczność pana Zamoyskiego, dał mu swego służalca, który mu do niczego pożytecznym nie będzie, co on poradzi z tym ciężkim pedantem, filozofem, kancistą, który niema pojęcia ani ducha, ani form, ani stylu dyplomatycznego. Książę Adam nie dość zna kraj, a ludzi w Polsce jeszcze mniej, najfałszywsze od niego poweźmie wyobrażenia o osobach, o talentach, o zdolnościach. Drobny, zazdrosny, a w mądrości swojej zaufany, jeżeli na kongresie układać będą konstytucyą, swoją metafizyką i utopią, wszystko zmaci, i księcia zbałamuci“. Dodał mi wtedy: „cesarz ma najlepsze chęci, chciałby, aby w przyszłym rządzie, jaki nada temu krajowi, place i urzędy były obsadzone najenotliwszymi i najzdolniejszymi urzędnikami; w tem będzie polegać na księciu Adamie, dla uniknięcia niechęci i uraz zdaje sobie życzyć, aby wszyscy urzędnicy księstwa umieszczeni byli, nie jest uprzedzony przeciw nikomu, prócz familii Łubieńskich, bo głosy nieprzyjaźni przeciw ministrowi Łubieńskiemu doszły do jego słuchu. Na wczorajszym wieczorze mówiąc w tej materji rzekł: „Mais point de Łubieński“. „Zobaczysz, wiele to osób Szaniawski zniechęci, a wiele ze swojej szkoły powciąga to do Rady Stanu,

to do sądownictwa, a może i sam się zrobi ministrem⁷. Linowski z Szaniawskim wprawdzie się nie lubili. Pierwszy niecierpiał filozofii Kanta i jego uczniów. Szaniawski nie mógł znieść wyższości i wagi, którą sobie umiał nadawać Linowski. Nienawiść tylko do Łubieńskiego ich łączyła. Wiele Linowski przewidział, nie wszystko jednak zgadł, bo Szaniawski wpływem swoim wielu na niewłaściwych stopniach poniżywszy, sam sobie tylko sekretarza generalnego Rady stanu miejsce czy wyjednał, czy ofiarowane przyjął. Może siebie dlatego nie wyniósł, aby wpływ swój w ubliżeniu drugim lepiej tał.

Wiadomo z ówczesnych pism, jak się rozpoczął i jak postępował kongres. Już to nie było dobrą dla przyszłego istnienia Polski wróżbą, że uznana w swojej konfederacyi przez całą prawie Europę, od tej konfederacyi, która ją reprezentowała nie miała reprezentanta, zanedbawszy, czy nie mogąc go mieć. Reprezentantem więc jej był tylko wspaniały jej zwycięzca przeciw Europie, która jak ją skwapliwie uznała, skoro Napoleon ją dźwigał, tak nie mniej skwapliwie się jej wyrzekła lub zobojętniała dla niej, gdy przewagą oręża protektor jej pokonany został. Rzecz nie do pojęcia, że szczególnie niemieckie dwory, które doświadczyły tych wszystkich udręczeń od Napoleona, jakimi obce panowanie i przemoc dotyka, i tem odstąpienie swoje od niego usprawiedliwiały, nie weszły w położenie i cierpienia Polski. Jeden tylko cesarz Aleksander, chociaż nie doświadczył wymazania państwa swego z karty świata, że doznał upokorzenia, najścia i niebezpieczeństwa, pojął położenie i boleści

podbitych przez siebie narodów i zapragnął nagrodzić im krzywdę, ukoić ich męki o tyle, o ile to nie było sprzecznem z interesem i bezpieczeństwem państwa jego. Gdy więc zrzeczeniem się krajów podbitych osłabiać się nie mógł, wróceniem imienia i narodowości, nadaniem instytucji liberalnych połączyć je z sobą i dobrym bytem materyalnym przedjednać w zamian utraconej niepodległości zamierzył. Tę myśl cesarz Aleksander w młodości powziął, teraz chciał wykonać. W tym sposobie oświadczył się w Paryżu Polakom, z temi zamiarami stanął na kongresie wiedeńskim i tam niespodziewane i nieprzelamane znalazł przeszkody. W Polsce stało się wkorzeniem nieniemianiem, które szczególnie w pewnej epoce rozszerzać i umocować starano się, że obce mocarstwa wzniesienia Polski nawet z ofiarą posiadanych jej części żądały, pod warunkiem, aby w niej żaden z graniczących sąsiadów nie panował. Przecież jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, inaczej się rzeczy miały. Najlepiejby to zaświadczył książę Adam, który jeżeli dotąd milczy, niepodobna, aby w swoich pamiętnikach politycznych, które zapewne pisze, nie dał prawdzie świadectwa. Ja to tu wyrażę, co mi Szaniawski opowiadał i com własnemi oczyma czytał w notach dyplomatycznych tych dworów, które w oryginale odbierane, cesarz księciu w kopii oddawał, a które Szaniawski w tece chował i mnie do przeczytania u siebie powierzył. Gdy się wszystkie zastawione na cesarza Aleksandra siadła, w zabawach, w intrygach pięknych kobiet nie udały i cesarz trwał niezachwiany w swoich zamiarach, przyszło nakoniec do not dyplomatycznych.

W jednej z nich wprawdzie jedno z mocarstw oświadczyło się za wzniesieniem niepodległej Polski, lecz gdy nieprzełamany opór wola cesarza Aleksandra stawiała, trzy wielkie mocarstwa podały prawie jednobrzmiącą, jakby zbiorową nutę, której było następujące znaczenie. Gdy cesarz Aleksander podbiwszy Polskę i przez napad Napoleona poniósłszy tak znaczne szkody i koszta, nie może być zostawiony bez wynagrodzenia, byłoby może najwłaściwszym środkiem ułożyć się o nowy podział Polski. W tem przypuszczeniu imię Polski byłoby zginęło, a niem wykryła się bojaźń, aby na jakimkolwiek bądź okrucchu kraju, korona polska nie okryła skroni cesarza rosyjskiego. Przejrzał cesarz Aleksander tę politykę, oburzył się na nią, wszczął się spór mocniejszy do tego stopnia, że cesarz na ostatni wypadek gotowy orężem utrzymać się przy swoich zamiarach, wydał proklamacyę do Polaków, aby się chwycili oręża dla utrzymania swojego bytu i popierania jego myśli wskrzeszenia ich ojczyzny. Tę proklamacyę przysłał do Warszawy w chwili gdy komitet złożony z najznakomitszych generałów wojska polskiego trudnił się organizacją nowej armii. Ta proklamacya na jaw wyszła, lecz jej ogłoszenie cofnął przybyły śpiesznie kurjer. Negocjacye szły dalej, nie bez sporu o Kraków, jako ważny punkt dla Austrii przy sąsiedztwie tak wielkiej potencji; gdy w tem nagle i niespodziewane wylądowanie Napoleona z wyspy Elby, i potrzeba połączenia przeciw niemu wszystkich sił, posłużyły cesarzowi Aleksandrowi do dokonania zamierzonego dzieła, a tak Polska taką, jaką mieć sobie życzył,

z zabezpieczeniem narodowości i z konstytucją liberalną utworzoną została, z dozwoleniem cesarzowi Aleksandrowi powiększenia jej terytorium z części na mocy dawniejszego podziału przez Rosyę posiadanych. Cesarz Aleksander uwiadomiony z Warszawy o troskliwości mieszkańców o ich przyszłe losy i o powątpiewaniach, które ducha trapić i osłabiać zaczęły, rzucił na papier zasady przyszłej konstytucyi, napisał list pochlebny i uprzejmy do Ostrowskiego prezesa senatu, doniósł mu o utrzymanej Polsce, rządowi tymczasowemu zalecił wspólnie z ministrami tego nowego królestwa i z radą stanu, który nominalną listę nadesłał, zając się przygotowaniem przyszłej organizacyi kraju i nim udał się za wojskami sprzymierzonymi, jakby pod Agamemnona naczelnictwem, księcia Adama jako powiernika swoich zamiarów zesał do Warszawy. Książę zasiadł w rządzie tymczasowym i zajął się udzieleniem poleceń. Szaniawski objął urząd głównego sekretarza ogólnego zgromadzenia rady stanu i kancelaryę swoją organizować zaczął.

Doniesiona mi nominacya na referendarza rady stanu sprowadziła mnie do Warszawy. Wprowadzie wprzód odebrałem listy od księcia Adama ¹⁾, pana Zamoyskiego i Marcina Badeniego, namawiając mnie, abym przyjął nominacyę na rektora akademii krakowskiej. Książę Adam, przejeżdżając przez

¹⁾ List księcia Adama Czartoryskiego do autora, w tym przedmiocie pisany, umieścił generał Franciszek Morawski w pięknym i tkliwym życiorysie przyjaciela swego Kajetana Koźmiana.

Kraków i naradzając się z Marcinem Badenim nad organizacją tego nowego wolnego miasta, czyli tak zwanej Rzeczpospolitej, troskliwy o jego instytucje naukowe, a zatem szczególnie o szkoły i akademię, w bojaźni, aby wpływ dwóch drugich współopiekunów nie trętwił ducha polskiego i narodowości ojczystej, szukał człowieka na zwierzchnika tejże akademii, któryby nietylko z dostatecznego oświecenia, z miłości nauk, lecz razem z doświadczonego patriotyzmu i nieprzystępnego żadnym ułudzeniom charakteru, dawał rękojmię prowadzenia tej instytucji w duchu narodowym, któryby strzegł uczniów i mistrzów od zarazy obczyzny, umiał wymiarkowaniem upiastować ufność opiekunów, a szczególnie cesarza Aleksandra, a wyborem o soby swojej nie ubliżał zasłużonym w tej akademii mężom, z których niejedyn mógł mieć niewątpliwe do tego stopnia prawo. Gdy się więc naradzał nad tym przedmiotem z Marcinem Badenim, ten czy przez przyjaźń dla mnie, czy też w zbyt pochlebne o moich małych zdolnościach naukowych mniemaniu, chociaż z chlubnego dla mnie o moim charakterze przekonania, naraził się na wystawienie mnie prawie na pośmiewisko uczonych, jakby chciał doświadczyć mojej miłości własnej, czy się nią uwiedziony podejmę tego, do czego pod tytuł względami żadnej zdolności nie miałem. Książę Adam, ze stopnia mojej nauki mniej mnie znający, uchwycił się tego projektu. Zarumieniłem się, czytając ich listy, i gdybym nie znał osób i ich przychylności dla mnie, ledwie nie byłoby mi przyszło do myśli, że ta propozycja była ironią. Zrobiłem więc sam sobie pytanie: Jakto ja bez potrzebnego

usposobienia, dla tego, że parę ód może nie złych napisałem, parę mów może nie bez jakiejś wymowy powiedziałem, już mam się przeto wnieść na tak wysoki stopień naukowy? Jaż to mam sobą poniżyć miejsce Hermanowiczów, Poczobutów, Kołłątajów, Śniadeckich; ja przed czterdziestu laty, uczeń tych osiwiiałych mistrzów, Przybylskich, Sołtykowiczów, Girtlerów, Jezierskich, mam im teraz przewodniczyć bez żadnej znajomości systematu pedagogicznego? O jak jest łatwo w Polsce nabyć bez zasługi słynności uczonego, jak ją łatwiej stracić przy chęciach, a nawet przy zasługach. Przy tem niejakię doświadczenie i zdrowy rozsądek wystawił mi, jak łatwo jest przy zręczności rządzić ludźmi ciemnymi, jak trudno mądrymi i uczonymi. Podziękowałem więc za tę chlubną ofiarę i przed moimi protektorami obnażyłem się z wszystkich narzuconych mi przez ich przychylność zalet, których mi właśnie brakowało, a lubo nie żałowałem, że się nie podjął, ci moi przyjaciele wyrzucali mi to nieraz i sam zacny Badeni często nie szczędził mi wyrzutów wtenczas szczególnie, gdy później na ten stopień wznosili się ci, z których rząd królestwa nie zawsze był kontent. „Tyś temu winien“ dodawał on, odpowiadałem: „winienem, że się nie znikczemnił“.

Objąłem więc mój dawny urząd referendarza w radzie stanu i zaraz zaczęto mnie obarczać pracami, do których z dawną moją dla rzeczy publicznej gorliwością przystąpiłem. Książę Adam wiedział przez moich kolegów, szczególnie przez Matusewicza, co mnie czekało od króla saskiego w przysłym kró-

lestwie. Przez zwykłą swego sumienia delikatność sądząc, że mam do niego urazę zwłaszcza, że ludzi choć pod każdym względem szacownych i wysokimi talentami celujących, jak Platera, lecz nie mających żadnych poprzedzających w Księstwie Warszawskim zasług, przeniósł nademnie wyżej, rzekł raz do mnie: „Może masz do mnie urazę, żeśmy cię wyżej nie posunęli. Wiem na co zasłużyłeś w przeszłym rządzie, lecz trudno było bez powiększania placów dogodzić wszystkim pretensyom i uniknąć uraz. O tobie wiedziałem, że gdzie idzie o dobro kraju, tam tobie o stopień nie chodzi i wiem, że nie ostygniesz w chęciach i w pracy“. Odpowiedziałem mu: „nie mam i nie miałem żadnej urazy, ale nawet gdybym ją mógł mieć, to mniemanie księcia o mnie starłoby ją zupełnie, bo sąd prawego męża więcej cenię nad wszystkie wyniesienia“.

K O N I E C.

№ Inw. 229.



14



10072

1